

MIKA
WALTARI

cztery
zmierzchy

Tytuł oryginału
„Neljä päivänlaskua”

(C) Mika Waltari 1949

Przełożyła
Kazimiera Manowska

Państwowy Instytut Wydawniczy

PIERWSZY ZMIERZCH

1

Tak się złożyło, że przez wiele lat musiałem zajmować się fabrykacją gwoździ różnego rodzaju, nie wyłączając trumiennych. Ten ciężki i żmudny zawód strasznie mi obrzydł, choć mnie i mojej rodzinie zapewniał całkiem dostatnią egzystencję. Więc przed nadejściem zimy zrezygnowałem z tego interesu, zostawiając innym borykanie się z gwoździemi, niezbędnymi czy nie (i tymi do trumien), sam zaś zacząłem się rozglądać za czymś, co sprawiłoby mi większą satysfakcję.

Rozporządzałem całą masą przytecznych i zbędnych, wesołych i smutnych, nudnych i ciekawych książek. Miałem również wspaniałą kolekcję obrazów o całej gamie barw, które chętnie podziwiałem: pejzaże, martwa natura, portrety. W moim gabinecie pysznił się na podłodze gruby chiński dywan, a na jego niebieskim tle przyciągały wzrok kwiaty ciepłej barwy. W gabinecie zimą nie było chłodno ani latem gorąco, miałem dobrą żonę, udaną córkę, która hodowała króliki, i wiernego psa, co nocami strzegł domu.

I mimo wszystko pod koniec zimy ogarnęła mnie głęboka depresja. Od czasu gdy rzuciłem gwoździe, nawet książki nie sprawiały mi już radości. Znudzili mnie też stale te same obrazy, a kwiaty na dywanie nie nęciły już moich oczu. Poza tym spostrzegłem, że córka jest z natury uparta, żona czasem wybuchowa, a pies leniwy. Liczne grono przyjaciół przychodziło do nas wieczorami po teatrze czy klubie, by pogawędzić i pośpiewać, ale ich dowcipne dysputy i śpiewy nie bawiły mnie już tak jak kiedyś ani przynoszone przez nich trunki nie uderzały do głowy tak

słodko jak dawniej, tylko zostawiały gorycz w ustach. Dlatego porzucałem wesołe grono i szedłem spać, lecz gdy wygodnie leżałem w miękkiej pościeli, na próżno przyzywałem sen; czuwałem nasłuchując hałasu, śmiechu i śpiewów, jakie dochodziły do mnie zza ściany, obojętny, jak gdybym zażył truciznę.

Tak nadszedł marzec i któregoś dnia słońce przygrzało jak wściekłe i śreń zaczęła topnieć, a któregoś wieczora okna zbłękitniały od mych młodzieńczych marzeń. Przerzucałem papiery szukając kwitu podatkowego, który się gdzieś zawieruszył, choć wszystko, jak na fabrykanta gwoździ przystało, miałem uporządkowane. Ta historia z kwitem rozgniewała mnie okropnie, bo przecież bez oporu płaciłem ciężkie podatki, z kolei zaś myśl o podatkach wyprowadziła mnie do tego stopnia z równowagi, że jak wariat zacząłem przewracać wszystko do góry nogami w szafach, szufladach, szafkach, koszykach i komódkach w poszukiwaniu zguby. W ten sposób zacząłem też myszkować po komodzie żony; kwitu oczywiście nie znalazłem, natomiast ku swemu ogromnemu zdziwieniu wyciągnąłem spod bielizny moje serce, które widać żona w roztargnieniu tam wpakowała i na lata całe zostawiła między obrusami. To odkrycie poruszyło mnie do żywego, chwyciłem więc wyschnięte i zeszywniałe serce i pognąłem po żonę, a kiedy sprowadziłem ją na miejsce przestępstwa, rzekłem do niej ostro:

— Cóż dziwnego, że melancholia dręczy mnie jak skazańca na dnie otchłani, cóż dziwnego, że tylko pustkę odczuwam tu, w tym miejscu nad żołądkiem, skoro schowałaś moje serce między obrusy i paczki starych zakurzonych listów.

Żona spojrzała na mnie pobłaźliwie.

— Drogi przyjacielu, niepotrzebnie się złościysz, a i nerwy masz widać nie w porządku; przecież długie lata żyłeś nie wspomniawszy nawet o swym sercu, ba, nawet nie spostrzegłeś, że go nie masz. Zajęty interesami, nawet słowem nie spytałeś o serce, ganisz mnie przeto niesłusznie.

Patrzyłem na zmięte i wysuszone serce — zmieszane i zakłopotane, słabo trzepotało na mej dłoni — wzruszyłem się ogromnie i pieszczotliwie doń przemówiłem:

— Moje biedactwo, twój pan był lekkomyślny i zaniedbał ciebie, ale od dziś sytuacja się zmieni, położę cię z powrotem na właściwe miejsce, nakarmię i ogrzeję własną krwią, tak jak być powinno, bo doprawdy wstyd i hańba, żeś tyle lat przeleżało w zapomnieniu gdzieś na dnie komody.

Zachwycone serce poczęło odżywać w mym ręku, czułem jego bicie, ale żona, wiedzioną złymi przeczuciami, rzekła:

— Kochany, nie pamiętasz, ile kłopotów przysparzało ci to serce swego czasu? Zapomniałeś, że dopóki to nieszczęsne i chciwe serce było w twojej piersi, nie miałeś ani chwili spokoju. Dla twego dobra ukryłam je w komodzie, gdy poniewierało się kiedyś pod biurkiem. Doprawdy, przeszkadzałoby ci tylko w prowadzeniu interesów. A więc szybko je wyrzuć albo oddaj mi na przechowanie. A jeśli ci to nie odpowiada — zanieś do sejfów w banku i zamknij na cztery spusty, by je zabezpieczyć, choć moim zdaniem ten głupi i niezdolny balast nie zasługuje na tyle troski.

Przyszło mi na myśl, że żona jest zbyt mądra. I jak to w podobnych wypadkach bywa, poczułem się nieswojo, przypomniały mi się moje grzeszki i wykroczenia, i dlatego powiedziałem wyniosłe:

— Serce stanowi moją własność, niech więc bije w mojej piersi, bo tam jest jego właściwe miejsce. Może właśnie ono pozwoli mi znów wrócić do książek i malarstwa i zapełni tę pustkę, którą czuję stale w okolicy żołądka.

Żona odrzekła:

— Pustkę tę raczej zapełni solidny posiłek, a na dziś przygotowałam wspaniałą pieczeń i świetny deser. Zrób, jak uważasz, bo przecież nie mogę ci przeszkodzić. Pamiętaj jednak, że jesteś roztargniony, pilnuj więc swojej własności, byś nie zostawił jej w knajpie, w wagonie restauracyjnym czy po prostu gdzieś w drodze, tak jak to stale ci się zdarza z parasolem, teczką, kaloszami, rękawiczkami i szalikiem, a potem mam tylko kłopot z odszukaniem tych ścieżek, po których się błąkałeś. Nie chcę cię urazić, ale przypomnę tylko, że już kiedyś zgubiłeś to serce w bardzo przykrych okolicznościach, a potem sporo miałeś trudności, aby się z tego wytlumaczyć.

Ale kiedy poczułem, jak serce znów bije mi w piersi, wcale nie przypominałem sobie tego wszystkiego, uważałem, że żona, jak to kobieta, przesadza. Odezwałem się więc szorstko:

— Pleciesz bzdury. Nie wiem, co masz przeciwko memu sercu, bo ja dopiero teraz odczuwam, jaka wspaniała to rzecz, i dziwię się doprawdy, że mogłem żyć bez niego i nie tęsknić, a nawet nie zauważyć, że go nie mam. Widocznie jesteś po kobiecemu głupio zazdrosna o moje serce i dlatego zamknęłaś je w szufladzie. Ale moje serce i ja nie jesteśmy więźniami i nie damy się zamknąć, o nie, tu się grubo mylisz.

Wątpię, czy odważyłbym się tak ostro i wyniośle przemawiać do żony, gdyby nie podjudyziło mnie do tego serce, które poczuło, że znajduje się znów na właściwym miejscu.

Żona nie obraziła się za te gorzkie słowa, westchnęła tylko z żalem i pokiwała głową, spoglądając na mnie pięknymi, smutnymi oczyma. Nie uwierzyłem oczywiście ani jej, ani jej przestrogom, choć lepiej by się stało, gdybym jej zaufała — zrozumie to każdy, kto usłyszy dalszy ciąg mojej historii.

Postawiłem więc na swoim, co mi się rzadko zdarzało, wola żony była na ogół silniejsza od mojej, przeważnie bowiem silniejsza jest wola kobiety, przypomina mi nieraz grubą płytę pancerną. Ale tym razem postąpiłem, jak chciałem, serce trzepotało mi się w piersi, a ja, podśpiewując fałszywie, odszedłem z dumą. Prawdę mówiąc, po kilku dniach nie widziałem istotnej różnicy między tamtym a obecnym czasem i całkiem zapomniałem, że serce znów bije w mojej piersi. Początkowo chytrze nie dawało mi poznać, że jest jakakolwiek różnica między przeszłością a teraźniejszością.

2

Kiedy jednak nadeszła wiosna, zrobiło się ciepło, a śnieg zamienił się w błoto, zmieniłem się i ja. Stałem się rozdrażniony i złośliwy, jedzenie mi nie smakowało, z pogardą grzebałem w talerzu, wymyślałem córce i jej królikom i zdarzało się, że nawet szturchałem psa, choć potem zawsze

wstydzilem się swego grubiaństwa. Z uwagi na taki stan rzeczy udałem się za namową żony do wybitnego lekarza, który przyjął mnie w białym kitlu i lśniących okularach. Przedstawiłem mu swoją sytuację i rzekłem:

— Umysł mam przybity, jakbym leżał na dnie otchłani, a gdzieś wysoko nade mną przelatywały złote ptaki. Stąd też głowa często mnie boli, sen ucieka mi z powiek, mam wstręt do jedzenia, a na ulubione książki patrzeć nie mogę, tak samo na obrazy.

Lekarz przyglądał mi się badawczo przez połyskujące okulary, chrząknął i spytał prosto z mostu:

— Jaki jest pański stosunek do trunków?

Nie zdziwiło mnie to pytanie, byłem na nie przygotowany, więc odpowiedziałem:

— Przyznam szczerze, że mój stosunek do trunków jest wrogi. Każdorazowe picie przyprawia mnie o chorobę. Czuję potem smak popiołu w ustach, brzuch mi pęcznieje. Unikam trunków ze względu na własne dobro, choć, prawdę mówiąc, bywają chwile, kiedy przy ich pomocy usiłuję wydostać się z tego dna. Zauważyłem jednak, że w tym wypadku nie tylko mi to nie pomaga, lecz przeciwnie, nogi ciągną mnie wtedy do miejsc, do których iść wcale sobie nie życzę, co powoduje tylko, że spędzam wolne chwile w niewłaściwy sposób i tracę mnóstwo pieniędzy.

Lekarz rzekł w zamyśleniu:

— Hm. — Powiedziawszy to skierował na mnie reflektor, ostrożnie opukał mi kolano małym młotkiem, a brzuch podrapał nadłamaną zapałką. Po tych zabiegach poprosił, bym opowiedział mu o dalszych objawach. Pomyślałem chwilę i rzekłem:

— Nie jestem jeszcze bardzo stary, ale już zacząłem łysieć i tyć, bo żyję w dobrych warunkach, ale lekko, bez zadyszki wspinam się po schodach.

Usłyszawszy to lekarz stuknął w roztargnieniu małym młotkiem po stole, wpił we mnie swój ostry wzrok i ostrożnie zapytał:

— Jak się układa pańskie... hm... pożycie małżeńskie?

To pytanie zaskoczyło mnie do tego stopnia, że zapomniałem języka w gębie.

— Moje życie małżeńskie jest jak najbardziej szczęśliwe — powiedziałem po chwili. — Każdy to może poświadczyć, kto zna żonę i mnie; doprawdy jest ono wprost wzorowe, nie brakuje nam niczego do szczęścia. Ba, jest ono tak dobre, że się go już nie zauważa.

Usłyszawszy to mądry lekarz uradował się niezmiernie.

— Mógłbym panu dać bardzo dobre zastrzyki hormonalne — zaproponował. — To ostatni krzyk mody w tej dziedzinie, a kosztują tyle, że nawet bogacz uwierzy w ich skuteczność; dzięki nim my, lekarze, możemy żyć na poziomie, czasem nawet ponad nim, aptekarze również wychwalają ich zalety. Jeśli zaaplikujemy panu kilka takich zastrzyków, będzie pan spał w nocy jak suseł, rano obudzi się rześki jak kozica, myśli pana będą całymi dniami błąkać się po szczytach gór, a i wieczorem ta rześkość pana nie opuści, będzie trwać do późnych godzin nocnych; sądzę, że i żonę ucieszy działanie tych zastrzyków na pana tężyznę, chociaż niestety nie mam zaszczytu znać osobiście pańskiej małżonki. Ośmielam się prosić o przekazanie jej moich najuniżeńszych pozdrowień i zapewnienie jej, że nie ma powodu do zmartwienia, bardzo szybko doprowadzimy pana do porządku.

Na te słowa serce skoczyło w mej piersi, dusza zatrwożyła się. Rzékłem szybko:

— Za nic nie pozwolę, byście kłuli mnie ostrymi igłami w różne części ciała, nie chcę też być susłem ani kozłem, pragnę tylko być człowiekiem, a nie fabrykantem gwoździ. Musi pan wiedzieć, doktorze, że dla polepszenia sobie warunków bytu zajmowałem się kiedyś gwoździami i interesami, ale teraz to rzuciłem, bo nie zadowala mnie już produkcja gwoździ; przedtem napisałem wiele książek, choć ich sam specjalnie nie lubiłem, często nienawidziłem ich, gdy się ukazywały. Ale teraz Egipcjanie zaczęli mnie prześladować, na siłę wciskają się do moich myśli, nocą pchają się do snu, tak że chwili spokoju mi nie dają, choć umarli przecież od dawien dawna, a najgorszy z nich to niejaki Sinuhe. Strasznie natrętny i wręcz nieprzyjemny facet, stale mnie męczy, bym napisał o nim książkę.

Usłyszawszy to lekarz odsunął się na drugi koniec stołu, a jego szklą mocno błysnęły. Przemówił do mnie bardzo ciepło i spokojnie:

— Mamy pewien nowiutki i bardzo przyjemny dom wypoczynkowy otoczony prześlicznym ogrodzeniem, jest tam centralne ogrzewanie, wygodne łóżka i niezłe wyżywienie. Mieści się w prześlicznym parku w pięknej miejscowości, a pacjenci mogą jeździć na nartach, pływać, grać w siatkówkę i brydża systemem Culbertsona — nawet lekarze chętnie tam przebywają, bo kształcą tam umysł. Sądzę, że mógłbym na jakiś czas zarezerwować dla pana pokój, choć chętnych jest wielu, tam nawet o gołen nie trzeba się martwić, bo świetny fryzjer robi to za pana, nie musi też pan patrzeć na ostre przedmioty, które mogłyby pana wytrącić z równowagi, i będzie pan mógł odpocząć po ciężkich trudach, a Egipcjanom zamkniemy drzwi przed nosem. Zaręczam, że za pół roku będzie pan mógł kontynuować swoje interesy, i to z powodzeniem.

Na te słowa skoczyłem jak oparzony i rzekłem ostro, choć grzecznie:

— Kto powiedział, że chcę się uwolnić od Egipcjan, których w ciągu wielu lat poznałem lepiej niż swoich przyjaciół. Przeciwnie, zamierzam o nich pisać, i to grubą książkę, jeśli tylko zdążę, w ten sposób najlepiej się uwolnię od nich i od pana. Dziękuję za przyjacielskie rady, kochany doktorze; ile jestem panu winien?

Lekarz westchnął ciężko.

— Chciałbym uwolnić pana od tych koszmarów i myślę o pańskim zdrowiu, a w sanatorium poznałby pan wiele sympatycznych indywidualności, które nie mają żadnych wad poza jakąś jedną; ktoś na przykład uważa siebie za budzik i dzwoni codziennie rano o siódmej, inny znów myśli, że jest licznikiem elektrycznym, ale jego tykanie nie będzie panu przeszkadzać, bo w takich chwilach trzymamy pacjenta w zamkniętym pomieszczeniu; są tam nawet wybitni ludzie, którym z kolei nie można nic zarzucić poza tym, że mają pragnienie, ale potrafią je ugasić tylko woda kolońską czy innymi wodami toaletowymi, których nie można im odmówić, bo to przecież wytworni panowie. Strasznie mi przykro, że nie chce pan posłuchać mojej prośby i poznać tamtych panów, ale nie mogę pana zmusić, dlatego zapiszę parę leków uspokajających i witaminy, które w każdym razie nie zaszkodzą.

Wypisał kilka recept i w ten sposób pozbyłem się jego opieki; nawet on nie był w stanie mi pomóc, a ja nadal miałem wrażenie, jakbym upadł na dno otchłani i niewidzialny sznurek ścisnął mi gardło.

3

W rezultacie zacząłem miewać paskudne sny, często w nocy zdawało mi się, jakby wszystkie książki, które w swym życiu przeczytałem, kładły się na mojej piersi i nie pozwalały oddychać. Podobnie liczne postacie z mych obrazów tańczyły wokół mnie lekkomyślne tańce, aż krzyczałem przez sen, a żona budziła mnie potrząsając lekko za ramię, i nie mogłem znów zasnąć, jeśli nie trzymała mojej ręki. Tak samo Egipcjanie prześladowali mnie bezustannie we śnie, aż się zdenerwowałem, bo uważałem, że choć tyle grubych i niepotrzebnych książek napisano na świecie, to i tak zawód fabrykanta gwoździ przynosi więcej zaszczytu niż zawód pisarza. Lecz Egipcjanie nie pojmowali mych rozsądnych myśli, tylko coraz natarczywiej mnie nachodzili i nawet we dnie skradali się po mym pokoju, aż pies warczał. Widział bowiem te zjawy, choć nikt z rodziny ich nie spostrzegł, bo psy widzą znacznie więcej niż ludzie, a przede wszystkim wywęszą więcej niż człowiek. Kiedy poczuł w domu zapach Egipcjan, stał się niespokojny i zaczął warczeć. Ale nie przeszkadzał Egipcjanom mnie dręczyć, bo mój szkocki terier, choć mały, był stary i mądry i wiedział, że kiedy nadejdzie czas, zabiorę go daleko na wieś, gdzie będzie trawa, woda i niebo, i napiszemy wspólnie książkę, tak jak dawniej. Pies nie lubił mych kupieckich zajęć, bo kiedy fabrykowałem trumienne gwoździe, pozbawiony był widoku trawy, przejrzystej wody, nie mówiąc już o niebie. Dlatego w skrytości ducha zaaprobował istnienie Egipcjan, choć warczał na nich dla podkreślenia swej ważności, no i pilnował, by nie wpakowali się do jego kosza.

Egipcjanie denerwowali mnie strasznie, nie mogłem się od nich opeździć i sądzę, że po cichu serce mi też przeszkadzało, choć wówczas o tym nie wiedziałem. Umysł mój bowiem ogarnął straszny niepokój, nie chciałem być tam, gdzie byłem, tylko zawsze gdzie indziej, piłem napoje wy-

skokowe, choć po nich czułem się kiepsko i jeszcze bardziej markotniałem. Aż któregoś dnia rzekłem zdecydowanie do żony:

— Wydaje mi się, że mała podróż dobrze mi zrobi, chcę odetchnąć świeżym powietrzem i zobaczyć inne obrazy niż te, które oglądałam wokół siebie co dnia. Chcę również zasmakować innego teatru, a może nawet pocałować jakąś piękną aktoreczkę, której przedtem nie spotkałem, bo jak sama dobrze wiesz, kocham piękno i wszystko, co nowe, oczarowuje mnie. Żona potrząsnęła głową.

— Wiesz dobrze, jaki będzie rezultat tej podróży; wrócisz jeszcze bardziej chory niż teraz, będę miała tylko zmartwienie z twoją wątrobą i z okładaniem jej kawałkami lodu, które córka nasza musi wyrąbywać w zamrzniętym stawie w ogrodzie. Dlatego proszę cię, żebyś nigdzie nie jechał, posiedź lepiej w domu, poczytaj, posłuchaj wieczorem śpiewu przyjaciół, którzy wpadają do nas na szklanekę wody, gdy wracają z klubów, a chcą ugasić pragnienie.

Lecz jej opozycja utwierdziła mnie tylko w moim postanowieniu, a dusza stała się niecierpliwa. Rzekłem rozgorączkowany:

— Słyszałem, że gdzieś jest obraz przedstawiający człowieka o trzech nogach, i czuję, że nie potrafię dłużej żyć, jeśli nie zdobędę tego obrazu — mam nadzieję, że jest on jeszcze do nabycia. Zbierz szybko moje rzeczy i spakuj do walizki, a nie zapomnij o maszynie do golenia i szczotce do zębów. Jadę szukać tego obrazu.

Kogo innego mogłyby zdziwić moje słowa, ale żona nie zdziwiła się wcale, choć wiele lat żyłem w szanowanym kupieckim stanie; poznała mnie ona dobrze i wiedziała, że potrafię być nieraz porywczy, dziwaczny i miewam swoje kaprysy. Dlatego rzekła:

— Jedź, skoro tak bardzo tego pragniesz, wiesz dobrze, że nie chcę mieć twoich radości. Pamiętaj jednak, co mówiłam; żebyś nie wypadł z pociągu, nie rozbił sobie głowy, jak to się już zdarzyło, choć, prawdę mówiąc, nie byłaby to wielka strata. Ale mimo wszystko twoja głowa jest cenna dla córki i dla mnie, więc proszę bardzo, bądź ostrożny w podróży i podczas deszczu wkładaj kalosze.

Ucieszyłem się, że jadę, zapomniałem o Egipcjanach i trzymałem się ściśle wskazówek żony co do mego zdrowia. Z zapalem, nie przemyśla-

szy sprawy, jak należy, jechałem do miasta mej młodości, gdzie moje serce już dawniej przysporzyło sporo kłopotów nie tylko mnie, ale nie pamiętałem już o tym, bo jako kupiec zdążyłem przyoblec się w gruby pancerz i tak jak wielu mężczyzn, miałem krótką pamięć w tych sprawach. Myślałem tylko, że w tamtym mieście jest jasnozielona rzeka i stare drzewa nad jej brzegiem, że głos srebrnych dzwonów roznosi się wieczorami z wieży kościoła, że Muzeum Sztuki pełne jest starannie dobranych cennych obrazów, na które miło patrzeć, a za miastem wznoszą się masywne mury starego zamku straszącego w bajkach, a na jego dziedzińcu, w świetle smolnych pochodni, widziałem raz przygody dwojga młodych kochanków z Werony, kiedy sam byłem młody i zakochany. To wszystko wiedziałem, ale nie pamiętałem, że teraz rzeka jest skuta lodem, że drzewa są bez liści, kościół zniszczony, zamek spalony i zakopcony, a moja młodość minęła. Nie, o tym nie myślałem, bo serce zazdrośnie kazało mi iść na przód, tak że słyszałem ustawicznie stukot pociągu w uszach. Jak widać, z góry oskarżam swoje serce o wszystko, co mi się przydarzyło. Dlatego więc proszę was dokładnie śledzić przebieg wypadków, byćście pod koniec opowiadania mogli wydać swój sąd, tak jak ja to czynię.

Kiedy przyjechałem na miejsce i po umyciu zębów w hotelu zobaczyłem, że rzeka jest sina w okowach lodu, drzewa na jej brzegu mokre i czarne, a zachód słońca oświetla ponury zamek zza okopconych murów, poczułem, że jestem stary i gruby, i łysiejący, a w czasie spacerów sapię niemiłosiernie. Serce szydziło ze mnie w żywe oczy i rzekło złośliwie: „He, he, no cóż, czyż nie udało mi się ciebie przechrzyć? Zrobię wszystko, byś poczuł moją wyższość i że lepiej by było, gdybyś umarł.”

Byłem jednak dziwnie głuchy na te zniewagi mego serca, bo za dużo lat żyłem bez jego stałej ingerencji w moje dyskusje, prace pisarskie czy myśli. Prawdę mówiąc, w momencie przygnębienia zamieniłbym je chętnie na rzetelne serce kupieckie, ale ponieważ to nie wypadalo, zbyłem serce milczeniem i tak jak zawsze, gdy byłem w mieście, udałem się do teatru.

Upajałem się pięknym gmachem i przedstawieniem, a potem wraz z przyjaciółmi korzystałem z wszystkiego, co tylko mi proponowano, a trzeba przyznać, że propozycje były najróżnorodniejsze, więc pod koniec,

jak dobry zwyczaj każe, całowałem piękne aktoreczki, bo zawsze kochałem piękno, nawet kiedy byłem kupcem.

Ale nie dało mi to zbyt wiele radości, bo gdy wróciłem do samotnego pokoju w osamotnionym hotelu, gdzie człowiek czuje się chyba jeszcze bardziej samotnie niż w jakimkolwiek innym miejscu — prócz oczywiście domu i własnego łóżka — i porządnie wyczyściłem zęby, i wypilem sporo wody, bo z nadmiaru wszystkiego paliło mnie teraz w gardle, nie mogłem zasnąć, tylko leżałem jak na dnie otchłani, wysoko, bardzo wysoko nade mną przelatywały złote ptaki i wiedziałem, że już nigdy, przenigdy ich nie złapię, bo to były ptaki mojej młodości, ja zaś byłem zmęczony, a ciało miałem obrzydliwe i nienasycone. Dlatego leżałem na dnie otchłani i nie ruszałem się z miejsca, coś gorzko we mnie lękało i pragnąłem, by pies był obok i strzegł mego snu, by ktoś, choćby obcy, wziął mnie za rękę, abym mógł zasnąć. Ale ludzie niechętnie trzymają dłoń kogoś obcego, choć często i namiętnie się całują. Dlatego sądzę, że ręką można dużo więcej powiedzieć niż ustami, które są w końcu mało ważne i poruszają się łatwo, jeszcze łatwiej niż ręce.

Wszystko to miało miejsce w wigilię Zwiastowania. Podkreślam to szczególnie, ponieważ Zwiastowanie było dla mnie zawsze czymś niezwykłym i przynosiło z sobą wiele wydarzeń. Myślę więc, że i moje serce oczekiwało niecierpliwie świtu, by zgotować mi więcej niż kiedykolwiek przykrości i kłopotów.

4

W ciągu roku nie ma bardziej dziwaczego dnia niż Zwiastowanie. Kiedy się obudziłem, słońce świeciło rzucając jasne promienie, a niebo wyglądało jak umyte i pomalowane na niebiesko. Ze wszystkich dachów nieprzerwanie kapaly błyszczące krople. Wyszedłem z zimnego pokoju i uderzyło we mnie ciepło, a wiosna, promienna i lekka, upoiła mnie jak najlepsze wino. I było mi łatwo oddychać, bo tu, do miasta mojej młodości, nadeszła wiosna wcześniej i miała więcej uroku niż tam, gdzie pędziłem solidny kupiecki żywot.

Czułem się, jakby wyrosły mi skrzydła, przypominałem sobie o trójnogim mężczyźnie i o celu mojej podróży. Nie wiedziałem, do kogo się zwrócić o radę, więc wędrowałem długimi, mokrymi ulicami w obcisłych kaloszach, według zaleceń żony, aż podeszła do mnie młoda stosunkowo jeszcze kobieta, patrząc cicho i wyczekująco w moje oczy. Kiedy napotkałem jej niebieskie, pałace jak słońce spojrzenie, oszalałe serce skoczyło mi w piersi; uchyliłem kapelusza i rzekłem:

— Proszę wybaczyć, że jako przybysz ośmielam się panią niepokoić, ale czy mogłaby mi pani poradzić, jak znaleźć malarza, który słynie z obrazu trójnokiego mężczyzny; chciałbym ten obraz kupić, jeśli jest jeszcze do nabycia.

Kobieta grzecznie zatrzymała się i patrzyła na mnie uśmiechnięta, a ja, przyglądając się dokładniej, spostrzegłem, że za palącym jak słońce, badawczym spojrzeniem kryje się cała głębia smutku, co często się zdarza, gdy mądra kobieta patrzy w oczy obcemu mężczyźnie. Odpowiedziała mi przyjaźnie:

— Zwraca się pan do właściwej osoby, bo istotnie wiem, o kogo chodzi. Ale droga do tego malarza jest daleka, dalsza, niż pan sądzi, bo mieszka on w lasku dębowym za miastem; to mądry i szalony zarazem człowiek, jak wielu zdolnych artystów. Mogę odprowadzić pana do Rynku i pokazać autobus, który szybko i wygodnie zawiezie pana na miejsce, bo wątpię, czy zechce pan iść piechotą tak daleko.

Gdy usłyszałem jej głos, serce zaczęło mi skakać, wyć i tłuc się z zachwyty, i waliło pięściami po żebrach, bym się ocknął i zwrócił na nie uwagę. Bo ten głos był mi znany, słyszałem go już przedtem, i choć kiepsko rozróżniam głosy, tego jednak nie zapomniałem, tak samo jak tych mądrych i spokojnych oczu.

Dlatego upuściłem kapelusz, który wpadł do błota, zająknąłem się i spytałem zdziwiony:

— Przepraszam, droga pani, czy my się nie znamy, czy nie spotkaliśmy się już kiedyś? Chyba znałem nawet pani imię, choć mam kiepską pamięć, jestem roztargniony i zapominalski.

Lekko skinęła głową. Miała na sobie śliczny wiosenny kapelusik.

— Ma pan rację, znamy się, bo kiedyś na przyjęciu siedzieliśmy obok siebie przy wspólnym stole, ale wtedy byliśmy oboje dużo młodszy. Jeśli się nie mylę, na pamiątkę tamtego wieczoru napisał mi pan wtedy wiersz i nie zapomniałam go, bo byłam bardzo młoda i nieczęsto zdarzało mi się zasiadać w tak znacznym i dostojnym gronie. — Popatrzyła na mnie wy-czekująco, miała piękną i zgrabną sylwetkę, i mówiła dalej: — Przepra-szam za ciekawość, ale jak to się stało, że szuka tu pan obrazu trójnogiego mężczyzny? Dawno już słyszałam, że został pan kupcem, nawet prasa podawała, że dobrze się panu wiedzie. Przecież kupcy nie zajmują się sztuką, a jeśli nawet, to już tylko tą przestarzałą, najmniej interesującą ich artyści malujący trójnogiego mężczyzn; sądzę tak na podstawie znajomości tutejszych kupców. Dlatego obraz, o którym pan wspominał, na pewno jeszcze tu jest, i sądzę, że artysta chętnie go sprzeda; osobiście jestem tym obrazem zachwycona, kolory ma pastelowe, szare i niebieskie, a trójnogi mężczyzna jest bardzo oryginalny i sugestywny.

Kiedy słuchałem jej głosu i patrzyłem w oczy, sam nie wiem czemu rzekłem gorączkowo:

— Pamiętam już wszystko i wiem, że była pani najpiękniejsza ze wszystkich dziewczyn spotkanych za moich młodych lat. Śniłem o pani, chciałem panią jeszcze zobaczyć, ale w gruncie rzeczy może i lepiej, że nie stało się to wcześniej, bo straszny był ze mnie nudziarz i wywoływa-łem tylko zamieszanie, tam gdzie się pojawiłem, obawiam się, że stan ku-piecki niewiele zmienił, jeśli idzie o moje usposobienie. Błogosławię ten dzień, w którym znów mi się pani ukazała, bo gdy patrzę na panią, serce mam znowu młode i widzę, jak rozkwita wiosna, a na zabłoconych dro-gach rozchylają się małe żółte i niebieskie kwiaty. Naprawdę błogosławię przypadek, który właśnie teraz przywiódł panią na moją drogę.

Ale ona odparła poważnie i śmiało:

— Jestem szczerą i nie lubię kłamstw, nawet miłych i pięknych. Nie widzę żadnych żółtych ani niebieskich kwiatów wokół siebie i muszę przyznać, że nasze spotkanie wcale nie jest przypadkowe, dobrze wiedzia-łam, że pan tu przyjechał, i chciałam pana spotkać; jestem prostą kobietą i chętnie spotykam się z mądrymi mężczyznami, ich mądrość może i na mnie promieniować.

Słyszając te słowa potknąłem się o kapelusz, który upuściłem na ziemię, rozpiąłem wszystkie guziki u płaszcza, bo zrobiło mi się gorąco.

— Wcale nie jestem mądry — zaprzeczyłem. — Przeciwnie, nigdy chyba nie wydorosłeje, nawet tyle lat pracy w zawodzie kupieckim zupełnie na to nie wpłynęło. Ale dziękuję niebiosom, bo nie chcę czuć się dorosły, moim zdaniem, życie dorosłych jest bardzo smutne. W skrytości ducha uważam, że kobiety dorosłeja szybciej od mężczyzn i kiedy na panią patrzę, wiem, że jest pani dorosła, niemal dojrzała, choć to rzadki przypadek. Nie wątpię też, że mądrzy ludzie szczerze darzyli panią swą mądrością, chociaż czasami wskutek zaskorupiałej mądrości kobiety stają się niczym kolący krzew, a ich słowa trujące i zjadliwe. Doprawdy jestem szczęśliwy, że spotkałem panią właśnie taką, jaka pani jest, bo oboje zmieniliśmy się od tamtego czasu. Może wówczas klóciłibyśmy się o wiele rzeczy i rozstalibyśmy się jak wrogowie, a teraz, mam nadzieję, pożegnamy się jak dwoje przyjaciół. Nie znaczy to, że chcę się z panią rozstać, chcę tylko, by to całe przedziwne miasto rozkwitło wokół mnie, bo kiedy patrzę w pani oczy, na jej usta, szyję i całą postać, robi mi się tak gorąco, że zda się, rzeka zacznie tajać, śnieg topnieć, a ziemia zielenieć.

Kiedy tak mówiłem, ona nagle posmutniała i rzekła:

— Nic się pan nie zmienił, wszyscy mężczyźni są jednakowi. Nienawidzę swoich oczu, ust i szyi, nie pragnę bowiem, by rozumnym mężczyznom robiło się gorąco w moim towarzystwie, przeciwnie, chcę, by przy mnie czuli się rześko. Przyjaźń to rzadkie i drogocenne słowo, a przyjaźń mężczyzny z kobietą jest krucha i łatwo ją zniszczyć. Jeśli idzie o tamten obraz, to zainteresował mnie tak bardzo, że chciałabym wiedzieć, czy dostał go pan na własność. Dlatego zapraszam pana na wieczór, upiekę wspaniałe ciasto, bo poza tym niewiele umiem. Sądzę, że mój mąż przygotuje jakieś niezłe trunki, słyszałam, że i pan je lubi.

Porozmawiamy wieczorem o trójnogim mężczyźnie, a teraz muszę już iść, nie będę pana dłużej zatrzymywać. Po tym wieczorze rozstaniemy się — wrogo lub przyjaźnie — jak los zechce.

Odprowadziła mnie do Rynku i zatrzymała się przy autobusie, do którego miałem wsiąść. Słońce oświetlało jej oczy i wydawała mi się jasna

i piękna, uśmiechała się, ale widziałem łagodny smutek w jej oczach, a były one niebieskie jak dym w świetle słońca.

Nie chciałem się z nią rozstać, ale ona kazała mi wsiąść do wozu i powiedziała kierowcy, że ma mnie zawieźć do dębowego lasu, gdzie mieszka malarz. Kierowca skinął porozumiewawczo i autobus ruszył. Znów poczułem, że leżę na dnie otchłani, choć świeciło słońce i niezliczone krople lśniły na dachach; w ślad za mną szły oczy dalekie jak gwiazdy i tak jak one smutne, bo gwiazdy są smutne; są samotne i dlatego im zimno.

Zwróciłem się do kierowcy:

— Czy był pan kiedyś na dnie otchłani i czuł, jak życie toczy się obok nieubłaganie, a pan na próżno wyciąga ręce; ma pan pragnienie i nie może pan go ugasić, jest pan głodny, a żaden pokarm nie może pana zaspokoić?

Kierowca odpowiedział:

— Taak, miewa się nieraz kaca.

Przywiózł mnie do dębowego lasu, niebieskawa sreń migotała na drodze, gdzieniegdzie wznosiły się stopy starych okraglaków. Tam wysiadłem, a on wskazał mi dom, gdzie miałem znaleźć trójnożnego mężczyznę.

5

Wszedłem do środka i artysta przyjął mnie gościnnie, podobnie jak jego żona, bo choć odwiedzało ich wiele ludzi, to nikt dotąd nie usiłował kupić trójnożnego mężczyzny.

Oglądałem jego obrazy i wiodłem z nim mądre dysputy, aż w końcu zobaczyłem obraz, na którym szarość mieszała się z błękitem, a trójnogi mężczyzna ze swym dwunogim kolegą, którzy dopiero co wkroczyli na drogę wszechbytu, niepewnie rozglądali się wkoło i zastanawiali się, dokąd skierować swe kroki, bo wszystko tutaj było im obce. Zakochałem się w tym obrazie od pierwszego wejrzenia, zdawało mi się, jakbym go już poprzednio gdzieś widział i znał — tak czuje się człowiek, gdy ujrzy coś naprawdę pięknego, coś, co można pokochać. Ogarnęła mnie chęć posiadania, która zawsze, wcześniej czy później, opanowuje kochającego;

cieszyłem się, że dzięki gwoździom mam trochę gotówki i mogę kupić ten obraz, choć był on w swej dziwaczności doskonały i bezbłędny, a tego się bałem; każda doskonałość przeraża człowieka, bo życie zmusza go do błędów i wypaczeń.

Artysta rzekł:

— Moja sztuka stworzyła kosmiczną samotność człowieka. Moje wizje rodzą się wśród lodowatej samotności wszechświata i nie ma powrotu z drogi, którą obrałem, bo w nieskończoności spotykają się ze sobą równoległe proste, a linia prosta w nieskończoności staje się krzywą. Możliwe, że obraz mój przedstawia romantykę okresu osamotnienia i smutku, ale jeśli tak jest, to na świecie nie stworzono dotąd nigdy tak zimnego romantyzmu. Ludzie powiadają, że gdy patrzą na mój obraz, czują ciarki na całym ciele.

Tak mówią ci, którzy coś rozumieją, inni uważają mnie za głupca i wariata. Lecz w takim razie i Einstein był wariatem i głupcem.

Sądzę, że właśnie tak mniej więcej do mnie mówił, choć dokładnie słów jego nie słyszałem. Kiedy skończył, spojrzałem raz jeszcze na jego obraz.

— Ma pan rację — powiedziałem. — Chyba ma pan całkowitą rację, więc nie będę zaprzeczał.

Następnie uzgodniliśmy cenę, potem artysta zawinął obraz w mocny papier i wpakował mi pod pachę. Wyszedłem z jego domu i z dębowego lasku zaprzątnięty całkowicie myślami o jego obrazach. Kierowca wiozł mnie z powrotem do miasta, ja szukałem niebieskawych migocących śnieżynek wokół siebie, a w mojej duszy, jak bryła lodu, z jakimś niesamowitym sadyzmem piekły samotność i nicość. Ale możliwe, że to serce paliło mnie, a nie żadna wyrwana z domu artysty lodowata bryła kosmicznej samotności, moje serce było bardzo perfidne i kapryśne i umiało zwodzić mnie na różne sposoby.

Zostawiłem trójnogiego mężczyznę w pokoju hotelowym nie rozwinąwszy go nawet z papieru, żeby sprzątaczką się nie wystraszyła, choć prawdę mówiąc, z chęcią obejrzałbym obraz w spokoju i samotności. Wyszedłem na dwór, wieczór był chłodny i zachód słońca pogrążył mnie znów w otchłani, a błyszczące krople zamarzały u stóp. Słyszać było

chrzęst kroków na zmarzniętej ziemi, a każdy odgłos roznosił się daleko w nieskończoność. Taki to był wieczór w wigilię Zwiastowania i pewien jestem, że serce zatroszczy się, bym o tym nie zapomniał, bo moje serce to trudna i złośliwa bestia i wcale nie pasuje do kupca.

Skorzystałem z zaproszenia przyjaciółki, która wyglądała teraz tak samo ładnie, a może była jeszcze piękniejsza. Na stole u niej stał ogromny kwiat. Był chyba zbyt jaskrawy, i to mnie drażniło, wpatrywałem się w niego przez cały wieczór i zjadałem tort. Mąż pani domu okazał się przemiłym, i jak odgadłem, wspaniałym człowiekiem. Łatwo doszliśmy do porozumienia i piliśmy trunki, które szybko uderzają do głowy i od których pąsowieją twarze. Ale przyjaciółka nie chciała z nami pić.

— Nienawidzę picia — oświadczyła — zaciemnia to trzeźwość myśli, a ja chcę mieć jasny umysł. Pod tym względem niewiele męża kosztuję, bo po jednym kieliszku już mam dość i robię potem głupstwa, których następnego dnia się wstydzę.

Rozgniewały mnie takie słowa.

— Człowiek nie może się wstydzić swoich uczynków — powiedziałem — bo jest i tak niepoprawną istotą i nigdy się nie zmieni. Jeśli wszyscy mężczyźni są do siebie podobni, to i kobiety nie są inne, nie wierzę ich słowom, bo serce kobiety jest, tak jak serce mężczyzny, mętne, pełne złośliwych zagadek i chciwe jak krokodyl.

Popatrzyła na mnie spokojnie.

— Nie wątpię, że znasz wiele kobiet i dokładnie poznałeś ich wartość. Również o mnie powiadają, że jestem zagadkowa, mam opinię kobiety zimnej, co mój mąż chyba może potwierdzić, ale nie zaliczam siebie do krokodylego rodu. Wielu mężczyzn twierdzi, że nie mogą zbliżyć się do mnie, choć próbowali wszelkich sposobów, za każdym razem musieli zrezygnować. Powiadają, że nie zbliżył ich nawet pocałunek, bo i to się zdarzyło — nawet opanowana kobieta ma chwile słabości. Mimo to żyję w harmonii duszy i ciała, serce mam czyste i dumna jestem, że udało mi się zachować je w takim stanie. Jest ono czyste jak źródłana woda i można je przejrzeć na wylot, ale mężczyźni nie pojmują tego i wyobrażają sobie, że jest we mnie coś, czego, prawdę mówiąc, wcale nie ma.

Ale nie wierzyłem jej, bo nigdy w życiu nie spotkałem kobiety, której serce byłoby czyste jak źródło. Również moje nienasycone, zawistne i niespokojne serce ostro sprzeciwiało się jej słowom. Byłem podniecony, wypilem za dużo różnych trunków, więc rozplakałem się gorzko.

— Zazdroszczę ci twego źródlanego serca. Bo moje podobne jest jawi żmii, czai się we mnie jak czarna przepaść, czyha jak kruk na pustyni. Okres, kiedy byłem fabrykantem gwoździ, napełnił mnie takim bezmiarem trosk, że gorycz mnie dławi, podchodzi aż do gardła, wywołuje czkawkę. Jeśli potrafisz, uwolnij mnie od tej goryczy, o ty, serce przejrzyste, choć w to nie wierzę, bo to niemożliwe, nie ma na świecie czystych serc, są tylko serca wilków i owiec, pożeranych i pożerających. A moje jest dziwnym hybrydem, sprawiającym mi ciągle kłopoty i przykrości.

Kiedy to usłyszała, dotknęła lekko mojej twarzy i współczuła mi tak szczerze, że załkałem jeszcze głośniejsze.

Jej mąż powiedział:

— Naszego gościa zmęczył nadmiar gościnności, będzie chyba najlepiej, żeby się tu położył, bo nie dojdzie o własnych siłach do hotelu, jeszcze złodzieje go napadną, ściagną z niego jesionkę, kalosze, zabiorą zegarek, dokumenty i trudno mu się będzie potem tłumaczyć. Lepiej by było, gdyby w ogóle nie wyjeżdżał z domu, bo to człowiek słaby i nie potrafi pić.

Przyjaciółka zaprowadziła mnie do swego pokoju, gdzie gorąco ją całowałem; właściwie myślałem, że całuję tamten czerwony kwiat, bo tego pragnąłem, po pijanemu namiętnie lubię całować kwiaty. W żaden sposób nie mogłem jej od tego kwiatu odróżnić, myślałem, że całuję kwiat, a jej usta stapały się z moimi i wcale się nie broniła. Ostrożnie położyła mnie na swoim łóżku, a ja przyciskałem policzki do jej pościeli i prosiłem, by położyła się ze mną, że nigdy niczego tak nie pragnąłem. Ale ona uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie, zgasiła światło i wyszła, a ja usnąłem jak kamień, na parę minut, przyciskając w ciemności twarz do jej poduszki.

Zbudziłem się z piekącą jak ogień twarzą i siadłem w pościeli. Umysł miałem jasny i dobrze wiedziałem, gdzie jestem, choć było ciemno. Patrzyłem na pościel, na której koniuszkiem palca napisała mi niewidzialnymi literami: „Szczęście jest jak sen.” Te litery płonęły na moich policzkach.

kach i żal mi jej było, bo teraz wiedziałem, że ona jest samotna jak ja, choć spotkał ją lepszy los — jej serce było czyste, a nie zmacone i ciemne jak moje podłe serce. Chyba już w dzień wyczytałem samotność w jej oczach, albo wtedy, gdy stała przy mnie na Rynku, a oczy jej miały kolor dymu. Może już wówczas widziałem to wszystko, ale dopiero teraz sobie uświadomiłem i przeraziłem się, bo zrozumiałem, że stało się coś nieodwracalnego, coś, na przyjęcie czego nie jestem przygotowany.

Wstałem szybko i wszedłem do oświetlonego pokoju, by pożegnać się z gospodarzami i gośćmi, bo nie byłem tu jedynym zaproszonym. Przeprosiłem za kłopot i szybko wyszedłem, nie zapomniawszy bynajmniej kaloszy ani szalika, i zaraz rano wyjechałem z tego miasta wraz z trójno-gim mężczyzną i obolałą wątrobą, jak to przewidywała moja żona. Tak powinien był, moim zdaniem, zakończyć się ten fatalny dzień Zwiastowania, ale stało się inaczej, bo niezależnie ode mnie i mojej woli byłem już skazany na dalsze wypadki, których głównym winowajcą było wyłącznie moje przewrotne i nikczemne serce.

6

Leżałem znów we własnym łóżku i okładałem wątrobę lodem, który przynosiła córka, a pies warował przy mnie. Nagle poczułem dziwną pustkę, przez moment myślałem, że umieram. Zacząłem się wsłuchiwać i raptem spostrzegłem, że brak mi czegoś w piersiach; stwierdziłem, że stało się to, co przewidywała żona: przez roztargnienie i nieuwagę zgubiłem serce gdzieś w podróży. Wcale nie musiałem się długo zastanawiać, gdzie się to mogło wydarzyć. Bez wątpienia zostało ono u mojej przyjaciółki koło biurka, pod dywanem, za poduszką na fotelu albo też upadło pod łóżko. Tak długo widać byłem kupcem bez serca, które żona chowała pieczołowicie w komodzie, że odzyskawszy je nie umiałem się o nie zatroszczyć, całkowicie je zlekceważyłem. Na szczęście żona niczego nie zauważyła, byłoby mi przykro przyznać się, że zaraz podczas pierwszej podróży zgubiłem serce choć tak zniszczone i podłe. Jak to u mężczyzn bywa, nie zamierzałem jej nawet o tym wspomnieć, i tak za często mie-

wała rację w swoich przewidywaniach. Właściwie czułem się bez serca o całe niebo lepiej, nawet wątroba szybko przestała mi dokuczać, ale kiedy wstałem już z łóżka, napisałem do mej przyjaciółki prosty, nieobowiązujący list tej oto treści:

„Kochana Przyjaciółko!

Dziękuję za ostatnie przyjęcie i przepraszam, jeśli zachowałem się nietaktownie, w ogóle postępuję nie tak, jak należy, i wszyscy już o tym wiedzą, więc nie powinno to nikogo zaskoczyć. Słuchaj, zdaje się, że zostawiłem u Ciebie swoje serce, może za poduszką na fotelu, na którym siedziałem, albo pod łóżkiem. Tak, chyba jednak pod poduszką, bądź więc tak dobra i zabierz je, jeśli znajdziesz. Właściwie nie musisz go tu odsyłać, schowaj je tylko, choć jest bardzo zużyte i szpetne. Masz, zdaje się, jeszcze kilka innych serc pod swoją opieką, więc nie sprawi ci to specjalnej fadygi, jako dobra gospodyni jesteś do tego przyzwyczajona. Kiedyś przy okazji oddasz mi je z powrotem, jeśli nie będziesz go chciała zatrzymać. Prawdę mówiąc, nie tęsknię za nim wcale i sądzę, że świetnie mu się wiedzie w Twoich rękach. Egipcjanie znów mnie nachodzą, i to tak podstępnie, iż chyba zacznę wkrótce o nich pisać. Dlatego jest nawet lepiej, że moje serce znajduje się gdzieś daleko i nie przeszkadza mi w poważnej pracy pisarskiej.

Serdeczne pozdrowienia przesyła Ci Twój wierny przyjaciel

PS. Jest ono stosunkowo duże i bardzo czerwone, czasem napęczniałe, może uda Ci się je odszukać. Jak nie znajdziesz, to też nic nie szkodzi, zupełnie dobrze obejdem się bez niego.”

Upłynęło stosunkowo dużo czasu, nim nadszedł kwiecień; w tym okresie Egipcjanie prześladowali mnie bardziej natarczywie niż dotąd, tak że w końcu wywnioskowałem, że nie uwolnię się od nich, jeśli o nich nie napiszę. Szczególnie złośliwy był Sinuhe. Strasznie mnie to gniewało, bo jestem z natury leniwy i nienawidzę przemocy. Na wszelki wypadek kupiłem sporo papieru, zmieniłem taśmę w maszynie do pisania i oczyściłem czcionki koniuszkiem agrafki. Pies znał te objawy i orientował się w sytuacji, więc warczał i szczyrzył zęby, bo był stary i mądry, chociaż

mały, i wyczuwał to, czego inni nie wiedzieli. Sądzę, że w tym czasie pokochałem już Sinuhego, który opierając się o biurko bezustannie pochylał się nade mną i przynaglał mnie do rozpoczęcia pracy. W końcu nadszedł dzień, kiedy zdecydowałem się na wyjazd i rzekłem do żony:

— Wiesz dobrze, że mąż musi zapomnieć o żonie i dzieciach, by pójść śladem gwiazd, jeśli naprawdę zamierza pisać. Mam wrażenie, że moja gwiazda prowadzi mnie na bezludzie i muszę za nią podążać, by uwolnić się w końcu od tych przeklętych Egipcjan, chociaż nie lubię samotności lasu, gdzie zwierzy ryczy po nocach, a mokre gałęzie zaczepiają o strzechę. Będę tęsknił do twoich oczu i do twych pięknych rąk, będzie mi brak naszych wspólnych posiłków i trójnogiego mężczyzny, i córki, ale psa wezmę ze sobą, jest mi niezbędny, by utrzymać w korbach Egipcjan.

— Spakowałam już twoje rzeczy — powiedziała żona. — Włożyłam do walizki ranne pantofle i sporo skarpetek, i ciepłej bielizny; dziękuję Bogu, że w końcu zdecydowałeś się na ten wyjazd, bo życie z tobą stało się nie do zniesienia, ciągle pleciesz o swych Egipcjanach, nie słyszysz, co do ciebie mówię, tylko jak głupi wytrzeszczasz oczy nawet podczas jedzenia. Jedź więc do lasu, nad jezioro, do babki, gdzie czeka na ciebie ciepły pokój na poddaszu. Pomyślałam o tym, bo bez przerwy gładzisz o wyjeździe. Będziesz musiał żywić się rybami, które sam złowisz w jeziorze, ale to ci tylko dobrze zrobi, babka i tak zatroszczy się o smakołyki, więc niczego ci nie zabraknie. Nie będziesz się też bał po nocach, bo nie ma tam dzikiego zwierza — poza oczywiście kilkoma dzikimi kotami i samotnym lisem — więc po uczciwej pracy zaśniesz spokojnie i mocno, jak na szanującego się człowieka przystało.

Szczerze i z ulgą pocałowała mnie i dała do ręki walizkę, również córka serdecznie mnie ucałowała, a trójnogi mężczyzna spojrział na mnie dobrodusznie ze swego obrazu naprzeciwko biurka. Ale w tej samej chwili stuknęła skrzynka do listów, to listonosz wrzucił list pisany z miasta mojej młodości. Był krótki i zawierał następującą informację:

„Kochany b. fabrykancie gwoździ!

Twoje serce znalazłam jeszcze przed nadejściem listu, byłam bardzo zdziwiona tym odkryciem. Leżało pod moim łóżkiem, co jeszcze bardziej

mnie zaskoczyło; na szczęście nikt go nie zauważył, sam chyba rozumiesz, że nie byłoby to dla mnie przyjemne. Natychmiast odgadłam, że należy do Ciebie, bo w życiu nie widziałam bardziej dziwnego okazu. Poza tym zachowuje się całkiem przyzwoicie i nie sprawia mi kłopotu. Na Twoją prośbę zatrzymuję je na razie u siebie, żeby nie przeszkadzało Ci w poważnej pracy. Prawdę mówiąc, taki obowiązek nie powinien być dla mnie miły, ale z jakichś powodów tak nie jest, choć na pewno źle robię przyznając się do tego.

Jesteś pierwszym mężczyzną, który w taki sposób przez nieuwagę zostawił u mnie swoje serce. To niezbyt dla mnie pochlebne.

Zdrowia i dobrych wyników w Twojej pracy życzy Ci

Twoja przyjaciółka”

Poruszony aż do głębi pustej komory sercowej czytałem ten list przy swoim wielkim biurku, a każde słowo było dla mnie objawieniem, pokój wypełnił się blaskiem. Na biurku stało kilka kwiatów, zobaczyłem nagle, jak powoli zamknęły swe kielichy i rozwarły je na nowo, chyląc się przede mną. Zdumiony zamknąłem oczy, ale obraz się nie zmienił: tulipany naprawdę chyliły ku mnie swe korony, poczułem niewysłowioną radość, bo wiedziałem, że los się do mnie uśmiecha.

Wyjechałem więc na bezludzie, zabierając ze sobą psa, maszynę do pisania i dużo papieru. Nie myślałem już więcej o tym, że miałem za sobą wiele lat ciężkiej pracy w zawodzie kupieckim. Widocznie pamięć mam krótką, jak to zwykle u mężczyzn bywa.

DRUGI ZMIERZCH

1

Do dzikiej głuszy dotarłem w kwietniowy wieczór, kiedy panowała cisza, las czarno wznosił się dokoła, roztajała w ciągu dnia droga ginęła pod kołami wozu, aż w strachu myślałem, że zapadam się w głąb tej wiosennej topniejącej ziemi. Ale wóz ciągnął Rylle, spokojny i mądry stary koń przywykły do wożenia baniek z mlekiem i innych ciężarów, nie licząc podobnych mnie podróżujących próżniaków. Szedł więc ostrożnie jak po lodzie na tej ginącej z oczu ścieżce, aż dojechaliśmy do oświetlonego domku mojej babci, która, jak żona przewidziała, upiekła ciasto, usmażyła mięso i nałowila sakiem ryby z przerebli na jeziorze.

Żyło mi się tu dobrze i dostatnio.

Żołądek miałem więc nasycony, ale duszę niespokojną i oczy zmęczone, bo niezliczona ilość pytań cisnęła mi się do głowy, gdy rano spoglądałem na niebieskawą, piękną i przerażającą powierzchnię tającego na jeziorze lodu.

Musiałem wziąć ze sobą maszynę do pisania, a ona, jak zawsze wymagająca, wpatrywała się we mnie żadna biało-czarnych uderzeń. Drażniła mnie ta jej bezwstydną pewnością siebie. Egipcjanie obozowali wokół mnie na poddaszu, za oknem czaiło się jezioro ze swą lodową przestrzenią, wielkie i groźne, a śmiertelnie białe strzały brzoź wznosiły za oknami swe bezlistne ramiona. Sinuhe siedział u mnie na pstrokatym dywaniku, brodę ukrył w dłoniach, a twarz miał umęczoną ciężarem lat i doświadczeń, gdy opowiadał historię swego życia. Zacząłem więc pisać pod jego dyktando, bo jeśli raz weźmie człowiek pióro do ręki, nie pomoże już nic

tylko pisanie. Chyba jest to jedyna recepta na tę chorobę, choć jeśli ktoś ma lepszą, chętnie z niej skorzystam.

Zacząłem więc pisać, podczas gdy skąpe kwietniowe słońce rozgrzewało niebieską bryłę lodową, która topniała w oczach, kruszyła się i szarzała, a czarna woda wybijała swój odwieczny rytm między brzegami i lodem. Zacząłem pisać i nie było to już dla mnie smutkiem ani bólem, jak przedtem, ale samą radością, upojeniem, tak iż nie poznawałem siebie, i teraz wiedziałem, że lata, podczas których fabrykowałem gwoździe, dały mi wiele, pozwoliły teraz cieszyć się pisanem, tak jak tego pragnąłem. Nie sądzę jednak, by źródłem tej radości była ulga z pozbycia się ciężaru gwoździ, powody jej były raczej inne, dużo głębsze.

Tak upłynęło parę dni i nagle jeziora zrzuciły lód, który wiatr porwał ze sobą, a ostatnie jego okruchy topniały w oczach. Wicher zakreślał szerokie łuki, wiosna budziła się do życia, a ja pisałem jak w gorączce, wszystko we mnie kipiało i żarzyło się, czułem w mózgu ten sam cudowny płomień, co kiedyś podczas największych pasji twórczych. Tak, czułem, że głowa rozpala się jak piec pełen żaru, ale węgle nie parzą, tylko pieką, sprawiając miły ból, moja trwoga minęła, nie bałem się już więcej pióra, całe dnie spędzałem z Egipcjanami, którzy żyli wieki przede mną, dopiero teraz poznałem ich bliżej, a kilku z nich nawet pokochałem. Również Sinuhe, który początkowo wydawał się taki natrętny i niesympatyczny, zyskał dużo przy bliższym poznaniu, choć wielu jego cech nie rozumiałem i nie zawsze mogłem się z nimi pogodzić.

A pod wieczór, gdy zapadał zmierzch, maszerowałem do mleczarni po mleko lub na progu gawędziłem z psem, który był bardzo zapracowany, bo musiał pilnować domu, no i szczurów myszkujących po strychu. Dlatego nie mógł mi już poświęcać za wiele czasu ani nawet przejmować się zbyt Egipcjanami, którzy zresztą zadomowili się tu i nie musieli już błąkać się wokół domu; przychodził więc tylko rano, w doskonałym humorze witał mnie i uradowany szedł ze mną na krótki spacer, o ile nie kolidowało to z jego osobistymi planami. Ale nie zagłębiałem się zbyt w proste rozumowanie mojego psa. Pod wieczór, kiedy zapadał zmierzch, martwy las i lodowata przestrzeń wypełniały się niewidzialnym życiem, powietrze wokół tętniło, słychać było nieustający szum, szelest, szepot, szczebiot, świergot i plusk, szczególnie hałaśliwy i głośny żywot wodny

żaby na swoim cypelku, ich ćwiczenia muzyczne nie zdradzały zbyt wysokiej klasy, były raczej wyrazem dobrej woli, pozbawione jednak wszelkiego samokrytycyzmu. Nie chcę jednak wypowiadać się w tej sprawie, bo sam jestem niemuzyczny i zdaniami rodziny nie mam wcale słuchu.

Tak mijał maj i czułem się całkiem szczęśliwy, bo moja żagiew płonęła sprawiając miły ból i nic nie zapowiadało smutnych ani przykrych wydarzeń. Ale w miarę upływu dni ogarniała mnie niewysłowiona tęsknota za sercem, chciałem dzielić z nim radości i smutki, bo w pamięci zostały mi tylko jego dobre strony i wielkie z nim zbratanie, zapomniałem już, ile zła, bólu i przykrości mi sprawiło. Przypomniałem sobie wielki czerwony kwiat i gorąco zapragnąłem wyjaśnić dalekiej przyjaciółce mój niefortunny krok. Napisałem więc do niej list tłumacząc, że człowiek, który z roku na rok coraz niżej schodzi po drabinie życia, nie interesuje się specjalnie, z jakiej studni chce ugasić pragnienie, wszystko mu jedno, jaka się trafi. Opowiedziałem, że piłem już z wielu źródeł i studzien — dużych i małych, dostępnych i ogrodzonych murem, słonych i słodkich, a raz piłem wodę nawet z brudnej beczki.

Po wysłaniu listu opanowało mnie ogromne podniecenie i często zapominałem nawet obserwować parę muchołówek, które troskliwie budowały gniazdko na drzewie tuż koło drzwi, pod moim oknem. Zbierały one puszek waty, którą wyrzucałem przez okno podczas porannego golenia, i dziwiły się, i zachwycały rozrzutnością człowieka. Kiedy babka wyniosła na dwór zabawki mojej córki, by je wywietrzyć, wykorzystwały ten moment i wyskubały z wielkiego czola wełnianego psa prześliczne kosmyki wełny. Pies prawie całkiem wyłysiał, a babka złościła się okropnie na taką czelność. Właściwie nic się straszego nie stało, bo pies już dawno stracił oczy, a nikt nie pomyślał o tym, by mu przyszyć nowe. W ten sposób muchołówki z ludzkich bogactw zyskały wiele świetnych, miękkich ździebeł do swojego gniazda i rozślawiały hojność i zamożność ludzką. Niezależnie od tego dla zwiększenia komfortu gniazda pani muchołówka uznała za konieczne ostrożnie wyskubywać delikatny puszek na swej piersi i stąd wywnioskowałem, że na pewno po raz pierwszy ma zostać matką, bo jeszcze jest czuła, wielce przejęta zadaniem macierzyństwa i pamięta już teraz o kruchości jajek.

W każdym razie z niecierpliwością czekałem na list i moja przyjaciółka zadała sobie na pewno wiele trudu przygotowując odpowiedź, zapoznała się bowiem z literaturą dotyczącą studzien i źródeł i mogła przytaczając liczne fragmenty i cytaty, przedstawić własny pogląd na tę sprawę. Powoływała się przy tym na poetkę, według której każdy musi znaleźć swoje źródło i swój goździk na pustynnym bruku wielkiego miasta. Stwierdziła również, że zachwyca się pewnym poetą, który uważa, że każdy sam musi wykopać sobie studnię, gdzie będzie mógł ugasić pragnienie. Wspominała również delikatnie, że wątpi, czy rozmiar i mnogość studni oraz ilość wody jest miarodajna, jeśli idzie o ugaszenie pragnienia, i czy nie należałoby raczej brać pod uwagę jakości wody i jej świeżości. Ale prawdę mówiąc, nie chce być moim sędzią, jeśli idzie o sprawy studni i źródeł, bo nie uważa, by spragniony wody człowiek, który bohatercko powstrzymuje się od picia wody, był czymś lepszym niż ten, który gasi pragnienie.

Jej list i zawarta w nim mądrość oczarowały mnie tak, że od razu odpisałem, ona znów mi odpowiedziała i dalej prowadziliśmy wymianę listów i myśli. Z każdym listem przekazywała mi swoje mądre myśli, aż kiedyś, o dziwo, spostrzegłem, że gorycz opuściła mnie całkowicie. Tak, nadszedł moment, gdy swoim zwyczajem chciałem spróbować goryczy, ale zły smak nie miał dostępu do moich ust — gorycz zniknęła. Podejrzewałem jednak, że wynikało to w głównej mierze z dobrych postępów w mojej pracy, a nie z powodu jej listów. Dlatego też rano i wieczorem brałem babkę i jeździliśmy łódką wzdłuż ciemnych brzegów, gdzie szumiała żółtawa stara trzcina, babka wyciągała z saków wielkie szczupaki, co rozdziawiały potworne paszcze, ona nieustannie waliła je po łbach, a na dziobie, za moimi plecami, pies badawczo podnosił mordę i węszył upajając się zapachem jeziora.

Czasami pod wieczór słyszeliśmy z drugiego końca cypla gruchanie dzikich gołębi, nadchodziły zimne noce. Czasem sójka klóciła się śmieśnie na skraju lasu, nadlatywały małe dzięcioły, by ostukiwać drzewa po bokach. Gdy między zeszlórocznymi liśćmi rozkwitły niebieskawe i lilio-we pierwiosnki, pod moim oknem zjawiał się w szare noce obcy ogromny ptak i na swym srebrnym flecie wygrywał tak dźwięczne i czarujące me-

lodzie, że wszystko we mnie tajało, spalało się do cna, ciało ogarniał niepokój, a im krótsze stawały się noce, tym mniej snu zaznawałem.

Ale na obiad babka upiekła w piecu ogromnego szczupaka, bo była stara i mądra i wiedziała, że nie ma na świecie tak wielkiego smutku czy tęsknoty, której by nie złagodził wspaniale upieczony szczupak, nadziany kaszą jęczmienną, jajkami i śliwkami. Potem przyszyły cieplejsze dni, po deszczu świeciło słońce i babka zaczęła szykować sieci, bo z głębi jeziora zaczęły się wynurzać leszcze w poszukiwaniu płytkich brzegów.

2

Tak nadeszła gorąca noc z maja na czerwiec, noc sobotnia; była ona za mym oknem szara jak wełna, a gałąź dopiero co wypuszczającej liście brzozy zaczęła pałać, gdy rozgorączkowany leżałem na łóżku. Zanim szarość nocy pojaśniała, dym niezliczonych papierosów rozwiął się w przestrzeni, a one same spopieliliły się po wyżarzeniu w niespokojnych palcach, lecz sen nie nadchodził. Tymczasem leszcze przybyły do zatoki koło cypla. Potężną falangą wypłynęły z głębi wód na płytką, nagrzaną słońcem wodę, by kłaść ikrę, jak zawsze na początku lata.

Leżałem w rozparzonym łóżku i widziałem leszcze w płytkiej, ciepłej wodzie, jak trą zamulonymi brzuchami o płytki grunt; a plusk ich ogonów dochodził do mnie przez otwarte okno, za którym świeciła mi w nocy pałająca gałąź brzozy. Sądzę, że czeremchy rozkwitły tejsze nocy, bo do szarego od dymu pokoju wciskał się cukierkowaty, drażniący zapach. Patrzyłem z mego łóżka na uszczęśliwione leszcze o okrągłych, pustych oczach, jak ocierały się brzuchami o płytkie, muliste dno zatoki i lekko poruszały szerokimi skrzelami.

W miejscu, gdzie mieściło się przedtem moje serce, była znów martwa, pałająca pustka i znów leżałem bez ruchu na dnie otchłani, wpatrując się w leszcze. W tę upalną noc niespokojne ciało zazdrościło mądrym leszczom, których zmysły były łatwe i proste i nie sprawiały im kłopotu, a krew była zimną krwią ryb, nie umiejących nawet mówić. Za moim oknem płonęła żarząca się, puszczająca młode pędy gałąź brzozy, a ja, nie

miałem chwili spokoju i pragnąłem tylko wydobyć się z płytkiej, mętnej wody na wody głębokie i jasne. Czułem się bardzo samotny w tę upalną noc, bardziej niż kiedykolwiek, ze wzgardą myślałem o zimnych zmysłach leszczy, o płytkiej wodzie i mulistym dnie, choć dobrze wiedziałem, że moje życie już od dawna osiadło na płytkim brzegu, a moje rozkosze niewiele odbiegały od prostej i łatwej zmysłowości leszczy.

Zgniewało mnie to w końcu i krzyknąłem zapalczywie do leszczy:

— Czy to wszystko jest w końcu warte życia? Dlaczego krzewy muszą dla mnie płonąć? Dlaczego słodkawy zapach czeremchy tak drażni mi nozdrza? Dlaczego moje ciało jest gorętsze niż upalna noc i nie daje mi spokoju? Bracie leszczy, poradź, jak wydostać się znów na głębokie, przejrzyste wody, czy też tylko śmierć jest głębią, a źródlanej wody w ogóle nie ma?

Leszcze spokojnie ocierały pełne mlecza brzuchy o płytkie nabrzeże i rzekły:

— Mamy twarde kark i szeroki ogon, a nasze ciało jest w każdym miejscu płaskie. Spróbuj spłaszczyć swą męczącą powłokę na nasze podobieństwo, być może będzie ci wtedy lepiej i jednym ruchem płetwy ogonowej dostaniesz się na głębinę, na przejrzystą głębię. Zwal na siebie ogromną płytę kamienną, by cię spłaszczyła, bo wiemy dobrze, że kiedy ludzie mają dość swej ułomnej, niedoskonałej postaci, pozwalają się zakopywać w głębokie jamy i przywalają je płaskim kamieniem, by stali się do nas podobni.

Z tak głupiego rozumowania wywnioskowałem, że leszcze są krańcowymi egoistami i że mają całkiem błędne i dziwaczne pojęcie o ludzkim życiu i jego dążeniach. Dlatego miałem już dość gadania z nimi, zamknąłem okno i wróciłem do łóżka; drzewa już nie płonęły za oknem, spałem jak kamień, a następnego dnia babka sprawdziła sieci i przez wiele dni jedliśmy smażone, gotowane i solone leszcze, aż spłaciły mi cały dług, a ja im, i byliśmy skwitowani. Od tego czasu jednak wystrzegałem się leszczy i aby się od nich uwolnić, napisałem o nich wiersz i wysłałem swojej pięknej przyjaciółce.

Na jakiś czas uspokoiłem się i z zapalem kontynuowałem pracę, Sinuhe odmłodził w moich oczach i zacząłem lepiej niż przedtem rozumieć

jego gołębie serce, choć Sinuhe z całą pewnością nie nadawałby się na kupca. W każdym razie brzozy wokół domu puszczały jasnozielone pędy, a ich pnie przyoblekły się w dziewiczą biel; dopiero teraz chyba zakwitły czeremchy, bo co wieczór, gdy zabierałem mleko z mleczarni, ciężki ich zapach unosił się nad drogą, a pies stał się niespokojny i często rzewnie płakał na progu izby żałując minionej młodości.

Dlatego po zakończeniu pracy i rozmieszczeniu Egipcjan po kątach poddasza siadałem na progu izby koło psa, gładziłem jego roztrzepane kudły i opowiadałem mu bajkę na uspokojenie.

— Kochany dobry mały piesku — mówiłem doń pieszczotliwie. — Pamiętasz, był sobie raz mały czarny pieseczek, miał dobry dom, kochaną panią, wspaniałą, miękki koszyk do spania i dużo soczystych kości, które można było chować za poduszki na fotelu albo pod dywan. I niczego temu psu nie brakowało w życiu, ludzie mówili zawistnie: „Chciałbym być na jego miejscu.” Przynajmniej mój przyjaciel Turo tak mówił, choć już umarł i jest szczęśliwy. Ale czy ten maleńki psiacek był zadowolony? Nie! Bo przychodziły chwile, kiedy ogarniała go nieprzewyciężona tęsknota i płakał skowycząc cichutko, i nie mógł się uporać z tą swoją niedolą, aż kiedyś, nie bacząc na nic, uciekł z domu. Ach, jakże było przyjemnie, jak cudownie wolny czuł się teraz, biegał po zieleniejących trawnikach, przeskakiwał rowy i wśród żółtych dmuchawców gonił za własnym cieniem. Pakował łapy do każdej kałuży i wdychał bez końca wabiące zapachy, tarzał się po wszystkich śmietniskach i ocierał o padlinę, aż cały był mokry, brudny, kosmaty i mocno śmierdzący. Ale zapadła noc, a on został sam, przemarznięty i głodny, i czuł się strasznie skruszony, i w końcu pokornie kuśtykając, z opuszczoną mordą wrócił do domu, do dobrej pani. Oczywiście dostał w skórę, ale potem pani wyszorowała go do czysta, wytarła do sucha wieloma ręcznikami i pozbawiła wszystkich potwornych woni, i ułożyła do snu w jego własnym koszyczku, tak że w końcu maleńki psiacek chlipiąc ze szczęścia zwinął się w kłębuszek i usnął w koszyczku u swej dobrej pani.

Pies zerknął na mnie podejrzliwie i rzekł:

— Nie wiem, po co wykopujesz ze śmietnika pamięci wszystkie stare i nieprzyjemne historie. Jestem już stary i mądry, a jeśli nawet skowyczę,

nie powinno to nikomu przeszkadzać, przecież robię to po cichu, skowyczę zaś dlatego, że na wiosnę o zmierzchu straszny żal mnie nęka. Jeśli się nie myślę, to nie tknąłem padliny po tym ostatnim razie, bo wiem dobrze, że zaraz mnie szorują, jak tylko brzydko pachnę, a łaźnia to potworne miejsce, gdzie para wodna pali mi oczy, mydło i woda wciskają się do nosa i uszu, tak że mam wrażenie, jakbym się dusił i głuchnął. Nie pojmuję też, jak dobra pani może być tak dla mnie okrutna z powodu jakiegoś głupiego zapachu, ale właściwie to ona często jest zagadkowa i dziwna, więc podporządkowuję się jej twardej ręce i z daleka obchodzę kuszącą padlinę.

Spostrzegłem, że ten temat nie był dla psa miły, usiłował siebie wybielić, był niewolnikiem swojej wyobraźni, ale mimo to mówiłem dalej:

— W ciągu ostatnich tygodni często wspominałem tego małego psiaczka i myślałem, jak potężna musiała być jego tęsknota, skoro żadna tkliwość, przywiązanie ani troska nie mogły go zatrzymać, tylko musiał biec, uciekać i wracać mokry, brudny i poturbowany, bo w końcu zawsze korzył się i wracał, i pochlipywał ze szczęścia, że może się znów wygodnie ułożyć.

Pies okropnie się zdenerwował i rzekł:

— Nie słyszysz, mój panie, jak szczur gryzie cichutko pod drzwiami? Czekam tylko, żeby go złapać za kark, kiedy wysunie swe obrzydliwe wąsiska ze szpary. Przeszkadzasz mi tylko w moich obowiązkach opowiadając wszelkiego rodzaju bzdury i teraz będę znów tęsknił za moją ukochaną panią, bo już czas, żeby tu przyjechała i zajęła się nami. Z szacunkiem odnoszę się do babci, ale już jako szczeniak tęskniłem za matką, której nie pamiętam, i wtedy przyciskałem mordkę do czubka buta mojej pani, choć byłem tak mały, że niewygodnie mi było odchyłać głowę do góry, żeby mordka dosięgła czubka buta. Odtąd zawsze tęskniłem za moją panią, gdy jej nie było, i nie znajdę sobie miejsca, dopóki znowu nie przytulę pyska do jej stóp albo do jej ciepłych kolan, tak, bym wiedział, że ona jest bezpieczna i że ją osłaniam.

Zorientowałem się, że pies próbuje skierować rozmowę na inne tory, ponieważ wstydzi się strasznie tych ucieczek i awantur z lat młodości. Dlatego bez krzty miłosierdzia rzekłem doń:

— Czemu więc uciekałeś od swej pani i pchałeś łeb w padlinę, jak byłeś młodszy?

Pies zawarczał groźnie, wyszczerzył na mnie — bynajmniej nie w uśmiechu — białe, dobrze zachowane zęby i odparł:

— Ty dużo częściej wracałeś do domu brudniejszy ode mnie — raz nawet z pokrwawioną głową — i to zarówno w dzień, jak i w nocy, a śmie rdziałeś gorzej niż ten potworny samogon, który twoi przyjaciele wychwalali porównując z holenderskim ginem, kiedy sklepy były zamknięte i nic lepszego nie było można dostać.

Nie miałem ochoty przypominać sobie o takich sprawach, słowa psa trafiły w sedno. Dlatego szybko poszedłem do domu, zostawiając psu czatowanie na szczury. Ale babki nie było, wieczór nadchodził chłodny i nudny, radio nadawało jakąś rzewną muzykę, więc w końcu wróciłem na próg, podparłem głowę rękoma i rzekłem do psa:

— No, nie kłómy się już o rzeczy minione i bzdury, o których lepiej nie wspominajmy, choć wątpię, czy nasza pani zapomni o nich kiedykolwiek, bo kobiety w pewnych wypadkach mają nadzwyczajną pamięć. Gdy zapada zmierzch, wielu ludziom też chce się wyć, a ja nie bardzo się od nich różnię, choć tyle lat byłem fabrykantem gwoździ, i to wcale nie najgorszym. Wiele osób, kiedy dzień się kończy i nadchodzi wielka, zimna ciemność, czuje bliskość Boga. Co ty o tym sądzisz, mój wierny i mądry piesku?

Ale pies zerknął na mnie strzygąc uszami, zaczął wsłuchiwać się w sła-bitki szmery szczurów pod drzwiami i wcale nie zrozumiał, co miałem na myśli.

— Przecież mam swoją panią — rzekł zdziwiony. — Po cóż miałbym tęsknić za jakimś innym Bogiem? Ona jest bardziej niepojęta i kapryśna niż wszyscy stworzeni przez ludzi bogowie i nie mogę sobie wyobrazić większego szczęścia, niż usnąć z pyskiem przytulonym do jej kolan. Nie pamiętasz, dobry panie, jak to dawno temu, w pięknych czasach na wyspie Sulosaari, skoczyłem z wysokiego mostu do wody krzycząc: Nie ma życia bez mojej pani! Było to wtedy, kiedy zamierzałeś zostawić mnie na brzegu samego i zabierałeś moją panią na tej przekłętą rozlatującą się motorówce, która w końcu przepadła, gdy zaczęła się wojna.

Pies wstał, otrzepał się i w zamyśleniu podrapał się łapą za uchem, więc odgadłem, że przypomina sobie straszne noce bombardowań, kiedy w piwnicy naszego domu dyszał ciężko ze strachu, gorzej ode mnie, a o świcie myślał, że nabawi się reumatyzmu od zimnej posadzki. Więc, jak z tego widać, nasz pies nie był wcale bohaterem, nawet w zwykłą burzę trzęsąc się włąził pod tapczan i chociaż istotnie zdarzyło mu się kiedyś rzucić z mostu do wody za swoją panią, to sądzę, że mocno wierzył, iż zatrzymam motorówkę i wrócę, by wyłowić go z wody, tak jak to się zwykle działo za tych dobrych czasów, nim zostałem fabrykantem gwoździ i gorycz podchodziła mi do gardła.

Ponieważ te poważne religijne problemy pies potrafił rozpatrywać tylko ze swego przyziemnego punktu widzenia, postanowiłem nie kontynuować dyskusji, tylko pomyślałem, że moje życie i doświadczenie z okresu kupieckiego w jakiś sposób oddaliły mnie od Boga, dlatego nie czułem już Jego bliskości, gdy wieczór się zbliżał, i nie słyszałem Go w szumie wiatru, a jeśli za czymś tęskniłem, to za bliskością czystego ludzkiego serca — bym nie był tak samotny. Samotność ziębiła mnie na progu, więc wszedłem do domu. Potykając się w mroku pies również wrócił, wskoczył na tapczan do swego kącika i razem słuchaliśmy rzewnych melodii radiowych tak długo, aż babka wróciła, zapaliła światło i dała nam kawy, która przyjennie rozwiła samotność i smutek.

3

Kiedy skończyła się szkoła, do leśnej głuszy przybyła córka z królikami, a wraz z nią i żona, sprawiło wielką radość zarówno psu, jak i mnie. Dwa króliki córki były belgijskie, wielkie i szaro-brązowe, a ich uszy zwisały jak warkocze. Dwa inne były białe, ruchliwe i gadatliwe i często uciekały, tak że córka musiała łowić je sakiem, a one wrywały się z klatki, szły do niej na ręce, po przyjacielsku obgryzały wstążki w jej włosach. Sądzę, że gawędziła z nimi o wielu sprawach, ale przy mnie króle nie były zbyt rozmowne i uważałem je za zwierzaki puste i głupie, dlatego też nie kwapiłem się do dyskusji z nimi o zagadkach wszechświata. Obydwa bel-

gijczyki nic nie mówiły, tylko jadły bezustannie i z zapalem, a po skończonym posiłku wycierały przednimi łapkami nadęte mordki i zabierały się do następnego posiłku; sądę, że żuły nawet we śnie, bo kiedykolwiek do nich zajrzałem, w dzień czy w nocy, zawsze tylko żarły. Rozmowa więc z nimi nie miała sensu, pies również przestał ze mną dyskutować i jak miał już swoją panią, strasznie mnie lekceważył, spędzał dni całe zwinawszy się w kłębek koło jej bosych nóg, jeśli oczywiście nie wykopywał kretów spod krzewów albo nie wojował ze szczurami na strychu.

Przestrzegałem teraz ściślej niż przedtem rozkładu dnia; tkwiłem poważnie na poddaszu, choć ciało, owszem, schodziło na dół na posiłki, a wieczorem siadało w fotelu, by poczytać gazetę i zapalić papierosa. Na poddaszu towarzyszyli mi Egipcjanie i zdarzało się często, że nie wiedziałem, czy mówię do zmarłego w zamierzonych czasach przyjaciela Sinuhe, czy do żony, czy też do córki, co strasznie je denerwowało. Twierdziły one również, że patrzyłem przez nie i nie słyszałem, co mówią, tylko zbywałem ich słowa roztargnionym: „Hm... istotnie... czyżby... ach, tak.” Mam wrażenie jednak, że złośliwie przesadzały z tym moim roztargnieniem, bo bardzo dobrze słyszałem, co mówiły, więcej nawet, słyszałem, jak dyskutowały, co zrobić na obiad i czy starczy syropu z buraków cukrowych na tort śmietankowy.

W domu przybyło też mieszkańców, bowiem z mleczarni przyniesiono trzy małe kogutki, które dotychczas spędzały życie w kuchni przy ciepłym kominie. Zaczęły one zwawo krzątać się wokół domu, dzielnie atakowały dżdżownice, wygrzebywały kawałki patyczków i słabiotko piszczały. Jednocześnie przyniesiono indora Hamleta z jego nieśmiałą małżonką Ofelią i nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak bardzo, tak całkowicie zawładnął cudzym domem, jak zrobił to indyk Hamlet; od samego początku czuł się w naszym domu pępkiem świata i kiedy zobaczył, że ktokolwiek zjawia się na drodze lub wchodzi do bramy, wrzeszczał, aż stygła krew w żyłach. Już od świtu zaczynał awanturować się i wymyślać, aż babka strasznie się zdenerwowała i zagroziła, że wyrzuci indora na zbity pysk.

Muszę doprawdy szerzej opowiedzieć o indyku Hamlecie, bo w życiu nie widziałem bardziej napuszonego ptaka; bez przerwy kręcił ogonem i rozcapierał skrzydła, zataczając wspaniałe taneczne łuki dokoła swej cichej małżonki, sam do siebie syczał ochryplym gardłowym głosem,

jego wiszące groźne korale nabrzmiewały krwistą czerwienią, szary kark wydymając się nabierał niebieskiego koloru stali. Indyk tak potwornie broił, tak się darł, że w końcu pies miał tego dość, wskoczył mu na kark i wyrwał kilka piór z ogona, bo nie mógł znieść drugiego pana na podwórku. Miał zresztą pełne prawo do tego, ponieważ indor usiłował bezczelnie wyjadać z jego miski; pies wprawdzie nie lubił kaszy i podwinąwszy ogon z obrzydzeniem uciekał od talerza, ale mimo to nie zezwolił indorowi tknąć zarcia, bo to był jego talerz, i niewątpliwie miał od strony prawnej całkowitą rację. Wyjaśniwszy w ten sposób, kto był panem w domu, pies unikał indyka, a indyk psa, żyli więc na jednym podwórku mniej więcej w zgodzie, choć sędzę, że nieustanny gniewny wrzask indyka fatalnie działał na słabe nerwy pieska.

Muszę przyznać, że jako mężczyzna wprost wstydziłem się za Hamleta, bo każdego ranka wyglądał jak stary opuchnięty hulaka, co późno wrócił z klubu do domu i budzi się zapity, z fioletowym karkiem i podbródkiem, i od razu zaczyna głądzić i wymyślać żonie. Na plus pani Ofelii muszę jednak zapisać, że w ogóle nie przejmowała się kaprysmi swego pana, tylko spokojna, perłowoszara, grzebała w ziemi, nie słuchając jazgotu starego, i od czasu do czasu znosiła duże pstrokatobrazowe jajko, nie robiąc tego demonstracyjnie, jak się to wielu żonom zdarza. Staruszka Hamleta traktowała, jakby był powietrzem, i bardzo szanowałem panią Ofelię za jej opanowanie i łagodną stanowczość.

Muchołówki dosyć wcześnie zaczęły korzystać z przygotowanego gniazda, bo któregoś ranka pokazało się liczne grono piskląt, które rozdziawiało dzioby, matka bezustannie krzątała się dostarczając im pokarmu, a ptak ojciec siedział na gałęzi brzozy i zadowolony szczebiotał, uważając, że w ten sposób spełnia jak najlepiej swój obowiązek w stosunku do powiększonej nagle rodziny. Myślę, że doszło do ostrych starć rodzinnych z powodu zachowania się ojca-muchołówki i niewątpliwie zasłużył na naganę za lenistwo swoich skrzydeł. Więc lato było już w pełni i nawet sowa, która jeszcze w maju ogrzewała się kilka razy na dachu koło komina, teraz zniknęła całkowicie, wynosząc się do letniej rezydencji w gąszczu lasu. Była to bardzo senna i spokojna sowa, której życia i zwyczajów nie można było obserwować, bo pokazywała się tylko czasami wczesnym rankiem lub późno wieczorem na dachu przy kominie

i nie miałem z nią styczności, choć chętnie przeprowadziłbym z nią dłuższą rozmowę. Postanowiłem sobie tylko, że muszę z nią nawiązać kontakt jesienią, kiedy wróci wraz z chłodami, jeśli wrony zostawią ją w spokoju, wrony bowiem strasznie nie lubią sów i kraczą, i zawodzą jak wściekłe, gdy je zobaczą, nic więc dziwnego, że kiedy noce stały się zbyt jasne, wołała przenieść się do oddalonej letniej rezydencji.

Bo noce były już zupełnie jasne, powierzchnia jeziora miała wtedy lustrzaną gładź, trzciny wznosiły się na mulistym wybrzeżu giętkie i zielone i nie było już dużej różnicy między nocą i dniem. Noce te rozpały we mnie gorączkę pracy i dużo słów rzucałem na biały, miękki papier. Prawdą jest, że pisałem wiele rzeczy zbędnych, ale jeśli wyjść z założenia, że w zasadzie słowa pisane w ogóle są zbędne, to najlepiej skończyć z pisarstwem i pozostać na zawsze fabrykantem gwoździ. Nie jest to wcale najgorsze wyjście, bo fabrykant gwoździ zaoszczędza sobie sporo smutku i rozczarowań, męki i tęsknoty i nie musi znosić upokorzeń albo być wiecznie niezadowolonym z siebie i żyć w ciągłej sprzeczności między ciałem a duchem, lecz prowadzi spokojny i syty żywot właśnie wtedy, gdy zdolny jest produkować choćby gwoździe do trumien.

Tak nadeszła noc świętojańska i przypadkowo spotkałem na drodze dzikiego brązowego kota, którego pies kilka razy zapędział na drzewo, kiedy ten skradał się wokół domu w poszukiwaniu rybich łbów. Zetknęliśmy się na zakręcie i ogromnie zdziwiliśmy się oboje, gdy spojrzeliśmy sobie w oczy, bo właściwie nigdy w tym czasie nie myślałem o dzikich kotach. Szedłem po siedem różnych kwiatów, chcąc powiązać je siedmioma różnobarwnymi nitkami, abym miał więcej, i to barwnych snów, bo w te jasne noce znudziły mi się już sny niemiłe. Pragnąłem śnić o oczach, które były niebieskie i szare jak dym w jasny słoneczny dzień, i dlatego poszedłem narwać kwiatów w noc świętojańską. Być może spróbowałbym w tę noc nawet muchomora, bo ciało miałem niespokojne i duszę mętną, i strasznie sam sobie obrzydłem, co zwykle się zdarza, gdy przez wiele tygodni piszę puste słowa na pustych kartkach.

Brązowy dziki kot wyszedł mi naprzeciw w noc świętojańską i strasznie syczał, podnosił do góry ogon i parskał mi w twarz. Bielone oczy mu płonęły i był przerażający wśród białej nocy. Przemawiałem doń uspokajająco i przekonywałem go o swoich dobrych zamiarach tak długo, aż kot

opuścił ogon, a w oczach zgasł mu płomień; usiadł przede mną na drodze, okręciwszy ładnie ogonkiem przednie łapki, i odezwał się:

— Mam nadzieję, że pański wstrętny i nieuprzejmy pies jest daleko stąd, ponieważ jego ostre ujadanie szkodzi mi na słuch i w ogóle nie cierpię jego białych lśniących kłów, choć prawdę mówiąc, jest to bardzo głupi pies, którego każdy szanujący się kot zwiedzie w krzaki w ciągu pół minuty. Doprawdy, ten pies jest moim stałym utrapieniem, nie mogę spokojnie poruszać się po własnym lesie, choć z przyjemnością zbierałbym skromniutkie łebki ryb i inne wyrzucone przysmaki na waszym śmietniku, jak to przywykłem robić zimą. Chociaż dziko żyję w lesie i nie mam domu, jestem szanującym się kotem i znam swoją wartość; nie odpowiada mi, aby jakiś skomlący, wyjący pies zapędzał mnie na drzewo, bo pazury mnie boją, niech to diabli! Pazury mi krwawiły, jak zawisłem na drzewie w strachu o swoją skórę, podczas gdy ten paskudny pies ujadał na dole jak wściekły, aż bębunki w uszach pękały. Nie znaczy to, że bym się bał jakiegoś tam małego czarnego zabijaki, raczej boję się, że stracę panowanie nad sobą i gdy zejść z drzewa, wydrapię mu ślepią, rozerwę uszy i strasznymi pazurami przejadę mu przez całą mordę; nie chciałbym wyrządzić mu krzywdy, bo słyszałem na wsi, że pański pies jest tyle wart co krowa i że jest wysoko urodzony. Dlatego ostrzegam pana, niech pan trzyma psa na uwięzi lub zamyka go w domu; nędza i cierpienia, jakich doświadczyłem, i ciągle prześladowania sprawiły, że stałem się dziki, tak że nie odpowiadam już za swoje czyny, kiedy wpadam we wściekłość.

Dziki kot siedział przede mną na drodze, dumnie wypinał pierś i mówił do mnie twardo i bezwstydnie, ale gdy tak przemawiał, przyglądałem mu się i spostrzegłem, że był mały, kosmaty, wąsy miał smutnie obwisłe, a oczy zaropiałe i głodne. Naprawdę był strasznie chudy i biedny, ale przestałem się litować, gdy przypomniałem sobie wszystkie jego przestępstwa, i rzekłem ostro:

— Słyszałem o tobie brzydkie rzeczy, a rano znalazłem na podwórku zakrwawione piórka małych piskląt. Nawet gniazdo ich rozwalileś i wiem, że czatujesz koło króliczych klatek, sądzisz, że jakoś się tam wślizgniesz. Naprawdę jesteś bezwstydny dziki zbrojny i niszczycielem jaj, podkradłeś się nawet do gniazd dzikich kaczek, żeby je ograbić. Dlatego pies ma rację przepędzając cię z naszego podwórka i miałby prawo wytrząsnąć

ci nawet duszę z marnej powłoki, bo przynosisz tylko zniszczenie i wyrządzasz szkody, bezwstydnym dziki kocie.

Ale dziki kot miękko i kornie zamruczał i rzekł:

— Pan by mi na pewno nie uwierzył, gdybym zapewnił, że tamto wszystko to zwykle oszczerstwo, zawiść i złe języki, bo biednym i wynędzniałym się nie wierzy, wierzy się mocnym i silnym. Potwierdzam z przyjemnością, że płynie we mnie dzika krew i rzeczywiście żądny jestem miękkiego mięsa i miewam pyszczek umazany żółtkami jaj, ale nie muszę panu przypominać, że sam pan chętnie jada ciepłe mięso jagnięcia i pozwala zabijać niewinne cieleta na pieczeń, a pani wyciąga na śniadanie drogie jajka spod indyczki, której z pewnością serce pękłoby z bólu, gdyby nie była taka głupia i umiała policzyć więcej niż do dwóch. Jeśli śmierć czai się w mych pazurach, to czai się ona też w nożach i widelcach, którymi tak ładnie zmiatacie z talerzy. W tych więc sprawach jesteśmy tyle samo warci i jeśli się nie mylę, w pańskiej krwi płynie też kropla dzikiej krwi, która rodzi niepokój pańskiego ciała i wieczny niedosyt duszy. Brak panu jednak naszego zuchwalstwa i śmiałości, by odważyć się uciec do lasu, zadowala się pan wygodnym domkiem i posiłkami z czystego talerza. Uważam przeto, że nie jestem pańskim dłużnikiem, pan za swoje tchórzostwo winien mi jest kilka łbów leszczy, a za kroplę ciepłego mleka oddać bym gotów całą szczęśliwość dzikiego żywota. Może to by mnie uspokoiło i nie byłbym wiecznie żądny ciepłej krwi na swych pazurach, dlatego proszę zapamiętać moje słowa, przemyśleć je i postępować zgodnie z ich duchem, jeśli jest pan naprawdę dobry, w co wątpię słuchając pańskich układnych przemówień.

Zauważyłem, że dziki kot mówił rzeczowo i mądrze, i odgadłem, że znane mu są wszystkie tajemnice gąszczów, gdzie kwitnie biały leśny rozmaryn. Dlatego rzekłem:

— Skończmy z frazesami i porozmawiajmy ze sobą otwarcie. Myślę, że tkwi gdzieś we mnie drobinka żywicy dzikiej kniei i zapach bagna, że jest we mnie trujący jad konwalii i wilczych jagód, bo dzisiaj, w tę białą noc świętojańską, tęsknota pożera mą duszę, pragnąłbym umrzeć. Zaprowadź więc mnie do jadowitych muchomorów, dziki kocie, bo naprawdę obrzydły mi już milutkie kwiatki i ich delikatne barwy. Zaprowadź mnie

do czerwonych muchomorów i pokaż cygańskie paleniska, gdzie kwitnie czarny lulek, bo choćbym miał umrzeć, chcę spróbować smaku muchomora i wysać sok szaleju, bym mógł wzbic się w niebiosy. Czemu chcę się wzbic w przestworza, nie mogę ci powiedzieć, bo nie tylko mnie dotyczy owa tajemnica, jest w nią zamieszany jeszcze ktoś drugi, kto musi dbać o swoją opinię. Dlatego proszę cię, wierz mi, że jest to dla mnie sprawa nadzwyczaj ważna.

Ale dziki kot przestraszył się mych słów, rozejrzał się trwożnie dookoła i rzekł:

— Zwraca się pan do niewłaściwej osoby, ja wcale nie znam pogańskich tajemnic lasu, bo choć jestem biedny i kosmaty, mimo wszystko zachowałem pobożny charakter i pamiętam nauki mej matki. Ale gdyby ktoś od dziś zbierał dla mnie głowy leszczy i rybnie ości i naprawdę postawiłby w umówionym miejscu kropelkę ciepłego mleka w kubeczku i... tak, ach, tak... smakowity kęsok tłustej wieprzowiny, wówczas może bym i zaprowadził cię w gęstwinę, choć oczywiście nie mogę gwarantować, czy znajdziesz, czego szukasz. Myślę jednak, że znajdziesz, bo znam dobrze te strony i miejsca, gdzie nawet znawcy lasów nie dotarli, znam miejsca, gdzie nie stąpnęła nigdy psia noga.

Wiedziałem, że nie należy zbyt ufać słowom i obietnicom dzikusy, bo nędza i bieda wypaczyły jego charakter, zresztą koty są z natury przewrotne, ale mimo to obiecałem zatroszczyć się o resztki leszczy i o wieprzowinę, bo tajemnica lasu nęciła mnie, a noc świętojańska rozpaliała mą krew. Tak więc dziki kot wiódł mnie w mroczną gęstwinę olbrzymich krzewów, ale szedł przede mną jak obcy, tylko od czasu do czasu zerkając do tyłu, czy idę za nim, bo nie chciał zdradzać się, że jest mym przewodnikiem; bał się zemsty lasu, gdyby spostrzeżono, że prowadzi człowieka do źródeł pogańskich tajemnic.

Z natury nie jestem leśnym włóczęgą. Gałęzie świerku chłostały z nienawiścią moją twarz, zgubiłem czapkę, przemoczyłem nogi grzęznąc w napęczniałych wilgocią mchach i porostach, wreszcie dość miałem tej całej imprezy i zamierzałem się już wycofać. Ale dziki kot poczuwszy aromat leśnego rozmarynu stał się rozdrażniony, zaprowadził mnie w gąszcz wprost do muchomorów, wskazał ich niezliczone ciemnoczerwone, białe

kropkowane kapelusze. Pokazał mi także palenisko cygańskiego obozu i roślinę, która miała trupi zapach; poczuwszy tę woń kot stracił panowanie nad sobą, zaczął skakać i parskać pałając oczyma, wreszcie nie był w stanie oprzeć się pokusie, skoczył na muchomor, gryzł go, potem rzucił się na pień świerku, aż żywica zaskrzypiała od jego pazurów, mruczał i wykrzykiwał coś w podskokach.

Wziąłem muchomor do kieszeni, bo włóczęga po lesie ochłodziła mój zapal i nie miałem już ochoty go próbować, zostawiłem to na później. Blekot o zapachu padliny jeszcze nie zakwitł, dlatego odnotowałem sobie to miejsce w pamięci i postanowiłem wrócić tu kiedy indziej, gdy czarne nasiona dojrzeją, zresztą nie chciałem, by dziki kot był świadkiem mych ciemnych sprawek. Miałem bardzo złe samopoczucie po tym wszystkim, co zrobiłem, ale zdławiłem wyrzuty sumienia.

Dziki kot po zjedzeniu muchomora szalał po wierzchołkach drzew i darł się, i wrzeszczał, aż wreszcie zeskoczył przede mną na ziemię, nie był już żałosny i obolały, i rzekł:

— Może pan zbadał tajemnice magii, choć są to niebezpieczne tajemnice i myślałem, że już o nich zapomniano, ale w rozwalonej chatce na południowym czy północnym wschodzie w krzewach wilczych jagód leży wciąż jeszcze pod kamieniem czarna księga, której kartki są z brzozonej kory, a czary zapisane ludzką krwią. Deszcze bez przerwy na nią padają, śnieg topniejąc zaciera litery na brzozonej korze; nie mam wiele pociechy z tej księgi, bo czytać nie umiem, wiem tylko, że jest to potężna księga należąca do starca z owej chatki. Jeśliś ciekaw, panie, mógłbyś zapytać o wszystko świniarki Santry, choć nie gwarantuję, że ona ci odpowie.

Dziki kot zaczął z sykiem zdzierać pazurami korę świerku, aż odsłoniły się żywe łyka, a ja rzekłem doń uspokajająco:

— Stara mądrość istotnie idzie już w zapomnienie, a wraz z niepotrzebnym balastem ginie też wiedza dobra. Człowiek stworzył teraz nowe, bardziej od starych skomplikowane dziedziny wiedzy, jak na przykład psychoanalizę, surrealizm, parapsychologię i teorię względności, ale wszystkie one dotyczą tych samych zagadnień. Na miejsce czarnego lulka, szaleju i muchomora wynalazł wiele gorszych trucizn, jak na przy-

kład morfinę, alkohol, nikotyne i kofeinę, które użytkownicy dobierają sobie w zależności od stanu ducha i od swej natury, one zapalają człowieka do lotu wzwyż tak długo, aż z zakrwawionym pyskiem nie runie znów na ziemię.

Ale dzikiego kota nie interesowały moje teorie, jeszcze bardziej się rozpałał i skacząc po koronach drzew krzyczał:

— Gilgamesz, Gilgamesz, gdzie jest trucizna życia? Teraz jej pragnę, teraz pożarłbym ten jad, choćby mnie spalił, jak pali ludzkie ręce. — Wzywając żałośnie Gilgamesza dziki kot pomknął przed siebie, przepadł w lesie i nie zobaczyłem go już więcej, więc wróciłem do domu człapiąc powoli, zmordowany, z przemoczonymi nogami.

Kiedy wszedłem do mieszkania, słońce było już wysoko, a żona obróciła się na bok i gorzko wyrzekła na mnie za tę włóczęgę w noc świętojańską. Zauważyła bowiem, że nim udałem się po kwiaty, wypilem pół butelki koniaku, który chowałem na wypadek ukąszenia przez żmiję. Każdy wie, że oryginalny koniak jest najlepszym lekarstwem na jad żmii, ale chandra kąsała mnie gorzej niż żmija, tak że zastosowałem koniak jako lekarstwo na chandrę, bo była to przecież noc świętojańska. Ale gdy wróciłem do domu, miałem w ustach smak muchomora, a koniak, jak żmija, kłuł mnie w piersi. Jest przecież rzeczą zrozumiałą, że dorosły mężczyzna, i to były fabrykant gwoździ, nie pobiegnie po kwiaty w noc świętojańską, jeśli wpierv nie wypije orzeźwiającego koniaku, moja żona powinna to zrozumieć, więc nie przywiązując do jej słów zbytnej wagi, zaraz położyłem się i usnąłem jak kamień.

Kiedy rano się obudziłem, koguty Adolf, Piotr i Gustaw piały cichutko pod moim oknem, indyk Hamlet przeklinał siarczyście, a obydwaj belgijskie króle żuły, jak zwykle, koniczynę, tak że przez moment zdawało mi się, że tamto wszystko było snem. Ale myliłem się, bo po kilku dniach, kiedy pies ułożył się na poobiednią, zdrowotną drzemkę na tapczanie, spotkałem dzikiego kota. Obchodził mnie z daleka, wstydził się widać strasznie swego postępowania w noc świętojańską i nie chciał teraz zamienić ze mną ani słowa. Ponieważ pragnę być człowiekiem solidnym i dotrzymuję słowa, zostawiłem mu łby leszczy, kawał smacznej wieprzowiny i kubek ciepłego mleka, choć prawdę mówiąc, wywiódł mnie w las

i zostawił tam samego, tak że z wielkim trudem udało mi się trafić z powrotem do domu.

Dotrzymując obietnicy porozmawiałem również z psem i spytałem, dlaczego tak strasznie nie lubi kotów, szczególnie dzikich, skoro są to małe, wystraszone zwierzątka, co zjadają muchomory i przejmująco wzywają Gilgamesza.

— Naprawdę nie wiem, dlaczego nienawidzę kotów — odparł mi pies, tak jak to umiał, po prostu i szczerze. — Widocznie coś we mnie czy też nade mną nakazuje odwieczną walkę między nami, tak że nie mogę patrzeć na kota ani znieść jego zapachu, tylko od razu wpadam we wściekłość. Głuchnę wtedy i na oślep gonię za kocim grzbietem, choć, trzeba przyznać, nigdy dotąd nie udało mi się złapać go zębami, a oddałbym za to wszystko i może wreszcie uwolniłbym się od tej nieprzepartej chęci. Ale silniejszy ode mnie jest nakaz, by, gdziekolwiek go spotkam, pędzić kota na drzewo i nie mogę się temu sprzeciwić, muszę rozkaz wykonać. Sam wiesz, mój panie, że z natury jestem dobry i serce mam miękkie, lecz na zapach kota ślepnę i głuchnę, i strasznie swędzą mnie zęby.

Słowa psa nie zdziwiły mnie wcale, bo prócz fabrykantów gwoździ spotykałem nieraz dobrych i czułych ludzi, ale na dźwięk jednego słowa stawali się ślepi i głusi do tego stopnia, że wpadali w szał i łaknęli krwi, choć z kotami nie miało to nic wspólnego, w grę wchodziły inne słowa, których cytować nie będę, każdy chyba wie, o co chodzi, a ja nie chcę się mieszać do polityki.

4

W tym czasie dostałem znów list od mej przyjaciółki. Pachniał truskawkami, a między liniami wierszy spoglądały na mnie jej błyszczące źrenice. Strasznie ucieszyło mnie to listowne spotkanie. Pisała do mnie tak:

„Kochany Przyjacielu,

Twoje serce jest przedziwne i spokojne i dotąd nie sprawiło mi najmniejszej przykrości, ogromnie przesadziłeś z tymi sercowymi kłopotami

mi. Istotnie, ilekroć dla kontroli biorę je do ręki, ożywia się i rośnie, ale poza tym nic w nim specjalnego nie widzę, choć nastraszyłeś mnie swym listem. Z wielkim przejęciem współuczestniczę w Twej pracy o Egipcjanach, którą piszesz w pobliżu gniazda muchołówek. Może prawdą jest to, co twierdzisz, że ciało i dusza stanowią jedność, że dusza splata się z ciałem tysiącami więzów — może to i prawda, ale musiałabym dodać: niestety, bo wtedy moja biedna dusza nie byłaby więcej moja. Ponieważ jednak wiem, że są kolory, których oczy nie widzą, i głosy, których uszy nie słyszą, to może ja odczytuję z Twego listu to, czego nie piszesz, i dlatego lubię Twoje listy. Jadłam truskawki i ręce nimi pachną.

Twoja przyjaciółka

Muszę dodać, że codziennie czekam na list od Ciebie.”

Tak pisała, a jej list wprowadził mnie w niepokój, umysł miałem lekki jak u dziecka. Ale to, co mówiła, że są rzeczy, których oczy nie widzą ani uszy nie słyszą, było całkowicie słuszne, bo w jakimś spektrum obydwu biegunów promienie ultraniebieskie i infraczerwone przenikają w nieskończoność i również pies pogrążony w najgłębszym śnie słyszy, i to przez wiele ścian, kiedy babka ostrzy nóż do mięsa i przygotowuje pieczeń, chociaż najczulsze ucho człowieka nie jest w stanie przez tyle ścian wyłowić najmniejszego dźwięku. A pies zrywa się z tapczanu, szturmując do drzwi kuchennych z gromkim okrzykiem: „Otwórzcie drzwi, dobrzy ludzie, otwórzcie drzwi! Nie słyszycie, że babka mięso kroi?”

Podobnie ja, kiedy czytałem list, miałem wrażenie, że słyszę kroki szlifierza noży na podwórku, i to mylne odczucie przejmowało mnie dreszczem i egzaltowało. Dlatego napisałem do przyjaciółki list bardzo głupi i niecierpliwy, a ponieważ wszystkie moje zmysły były do ostatnich granic napięte, posłałem jej wraz z listem swoje oczy, uszy, nos i koniuszki palców, chyba i usta; nic dziwnego, że taki denerwujący, żenujący i popełdliwy list zrobił na niej silne wrażenie — odpowiedziała mi jak najogólniej:

„Drogi Panie!

Mądrość, genialność i piękno są darami, których nie można zawieszać na słonce, lepiej chyba nawet nie próbować, czy żdźbło słomy takie dary

udźwignie. Zapamiętam na całe życie, jak boleśnie przeżyłam spostrzeżenie, że łatwo byłoby mi zdobyć, choćby na krótki czas, przyjaźń ludzi mądrych, rozumnych, nawet genialnych, gdybym ze swej strony dała im to, co może samo w sobie nie jest bez znaczenia; ale potem musiałabym sobą gardzić. Pamiętam na przykład pewnego mądrego uduchowionego poetę, z którym chętnie podyskutowałabym, ale on był jeszcze za młody, jak z jego słów wywnioskowałam, ponieważ rzekł: «Nie mam czasu na rozmowy, ale jeśli mi pani pozwoli pieścić ją i całować, i głaskać swoje piersi, to będę z panią rozmawiał tak długo, jak pani zechce». To szczere wyznanie źle wychowanego młodzieńca zwróciło moją uwagę na to, o czym dotychczas nie myślałam, i zmusiło mnie do zbudowania wokół siebie muru, przez który nikt się już nie przedostał. Mam nadzieję, że ta moja szczerłość nie obraziła zbyt Twej wrażliwej natury i że możesz mi wybaczyć.

Wszystkiego dobrego życzy Ci Twoja przyjaciółka.”

Czytając list potwornie się zmieszałem i zacząłem wątpić już w siebie i we wszystko, ale na szczęście byli ze mną Egipcjanie i przyswoilem sobie spokój ducha starzejącego się Sinuhe. W ten sposób, stoczywszy walkę ze swym demonem, napisałem do niej szczerzy list zapewniając, że nigdy nie chciałem prosić jej o coś, czego ona sama nie chciałaby mi dać, i że nasza przyjaźń jest mi droższa od uciechy moich ust, oczu i dotyku rąk i że nigdy nie zamierzam zmać jej czystej źródlanej wody.

Po tym wszystkim jej oczy jak szary dym zjawiały się w moich snach cieplejsze i miłociwsze, spałem spokojnie i już koszmary mnie nie nękały. Często widywałem we śnie krowy, które jako mały chłopiec pasłem w wielkim lesie i ze złością biłem, kiedy nie chciały mnie słuchać. Teraz przychodziły do mnie w snach i spoglądały wielkimi smutnymi, oskarżającymi oczyma, roniąc łzy, co spływały po kosmatych mordach, aż sam budziłem się z płaczem, choć byłem dorosły i miałem za sobą staż kupiecki. Ale przyjaciółka przegnała krowy-oskarżycielki z mych snów, więc spałem jakiś czas spokojnie, pracowałem rzetelnie, a nienasycona maszyna pożerała kartki papieru jedną za drugą.

Któregoś wieczora, gdy leżałem w pościeli czekając na błogi sen, zjawił się za mym oknem mały szary ptaszek. Gwizdząc śpiewał dla mnie w tę miękką, puchową noc, dla mnie i dla mej przyjaciółki śpiewał srebrzystym głosem hymn nieśmiertelności. Gwizdał tak:

Tylko jedno jasne spojrzenie —
drżą w uśmiechu usta
i woń wiosny poczujesz jesienią;
gorycz jak воск się topi,
brzydota już cię nie szpeci,
świat rozkoszy przyjmujesz na własność.
O przejrzysta źródłana wieczność!

Tak śpiewał za mym oknem mały szary ptak, śpiewał co noc żarliwą melodię aż wszystko we mnie tajało, gorączka pracy ogarniała mnie dniem, a wieczory stały się dla mnie olśniewającym snem. W ten sposób doznałem, zatopiony w swej pracy, do kwietnia, ale człowiek nigdy nie jest zadowolony i nienasycone serce znów zwiodło mnie szukając miraży. A może winowajcą był, choć częściowo, żółty jak gorycz lipcowy księżyc. Dlatego wspominając żółtą gorycz lipcowego księżyca boję się i muszę czekać na nowy zachód słońca, by dalej ciągnąć to opowiadanie.

TRZECI ZMIERZCH

1

Lipcowe noce zaczęły powoli zasnuwać się mgłą, a trawy wieczorami pokrywały się rosą, córka jadła rzodkiewki z ogródka i pracownicy zbierała koniczynę dla króli. Codziennie rano, gdy zaczynałem w towarzystwie Egipcjan swą pracę, z trzcinowych zarośli przylatywała na brzeg opasła krzyżówka i ze sterczącym w górę ogonkiem, zanurzała szeroki dziób w wodę wyszukując korzonki trzciny i inne przysmaki. Kaczki pokrzykiwały w zaroślach, od czasu do czasu stary gawron przelatywał zamysłony przez zatokę z jednego cypla na drugi w nadziei, że zobaczy gdzieś zbłąkane kaczątko lub znajdzie spóźnione jajko w ptasim gnieździe. Dnie były jasne i pochmurne, wietrzne i jak lustro spokojne. Rano i wieczorem zroszona ziemia i las pachniały wszystkimi barbarzyńskimi wonnościami ziół.

Ostatnie krzewy dawno już przekwitły i ich oszałamiający słodki zew nie przeszkadzał mi więcej. Lecz gdy lipcowy księżyc stał się jaskrawożółty, żonę i córkę opanowała gorączka podróży, postanowiły wyruszyć pociągiem, autobusem i statkiem, by odwiedzić krewnych. Wiedziały doskonale, że wszystkie pociągi, autobusy i statki są przepełnione, a u krewnych miejsc noclegowych raczej nie starczy, należało więc wnioskować, że miały po prostu ochotę podróżować i zasmakować wszelkich związanych z podróżą goryczy.

Przyjąłem ich decyzję spokojnie, bez wielkiej rozpaczy, bo sam miałem dość kłopotów związanych z moją pracą. Pisanie jest widocznie zuchwałym i strasznym przedsięwzięciem, które deformuje życie człowieka, prze-

kształcając umiłowanie życia towarzyskiego w głód samotności, a proste radości w udrękę. W tym okresie nie było dla mnie bowiem większej radości niż pisanie, z wyjątkiem może wspomnienia siwych jasnych oczu, które czuwały nad moim snem.

Ale któregoś wieczora, kiedy jezioro zaszło mgłą i podniósł się zza niego ogromny, gorzko-żółty księżyc, straciłem spokój ducha i ohydne podniecenie oładnęło mną bez reszty. Następnego dnia potajemnie wyruszyłem do lasu, choć nie było to w mym zwyczaju — najchętniej zdierałem buty na gładkich drogach i wydeptanych ścieżkach. W lesie odszukałem miejsce, które mi dziki kot pokazał w chwili słabości; straszne cygańskie ziele przekwitło, a jego brudne kwiaty przekształciły się w dojrzewające czarne nasiona. Zniknął też ohydny trupi smród, tak że pachniało to nawet lepiej niż kalwińska teoria o przeznaczeniu — ale wiem, że były to tylko podszepty pogańskiej dzikiej kniei.

W każdym razie zerwałem ten dojrzewający owoc, a wróciwszy do domu odnalazłem wyschnięty muchomor i cały ten kram wpakowałem do butelki koniaku, którego została jeszcze połówka, jak już mówiłem. Wszystko to zrobiłem po kryjomu i ostrożnie, ale cały czas dzwoniło mi w uszach ze strachu, słyszałem skradające się kroki szlifierza koło domu, a w gardle czułem gorzki smak dymu ulatującego z niezliczonych kociołków, w których za dawnych czasów czarownice warzyły swe napoje. Ale przypomniałem sobie, że prócz teorii filozofii, psychoanalizy i parapsychologii również surrealizm nie jest mi dziedziną całkiem obcą, co niewątpliwie wynika z mego opowiadania o trójnogim człowieku. Dlatego też, moim zdaniem, starodawne tajemnice puszczy oraz wszelkie napoje czarownic są w porównaniu z tą całą szkodliwą wiedzą dziecinną igraszką.

Kiedy ujrzałem, że księżyc wznosi się w swej trującej żółtości nad jeziorem, a nietoperze miękkimi skrzydłami muskają powietrze wśród białych brzozowych zjaw, zażyłem łyk piekielnego roztworu i wcale nie wydał mi się zły, bo teraz czuło się mocniejszy i osołamiający smak koniaku. Miałem ochotę pośpiewać, choć jestem bardzo niemuzykalny, i księżyc nie wydawał się już tak jadowity, lecz w swym kołysaniu na horyzoncie między niebem i wodą przypominał raczej dojrzłą pomarańczę. Porównanie to w rzeczy samej trochę kuleje, bo pomarańczy nie widziałem przez

długie lata wojny, ale w każdym razie księżyc był, moim zdaniem, zupełnie realny.

Wsluchiwałem się w niespokojny, mroczny głos swego ciała, ale niepokój minął i poczułem się strasznie zmęczony. Wyszedłem pospacerować i popatrzeć na kwiaty, bo ubóstwiam piękno i właśnie gdy skosztuję dobrego koniaku, ogarnia mnie nieprzewyciężona chęć oglądania kwiatów. Nietoperze miękko krążyły w ciemności, a pies spał jak zabity na tapczanie, kiedy księżyc niby latarnia oświetlał czarny las. Zobaczyłem, jak dziki kot szarpie przerażone pisklęta cietrzewi, a gdzieś z daleka donośli się szmery i szepty. Patrzyłem na fiołki, białe floksy i maki, muchomor świerzbil mi ciało, a cygański czarodziejski kwiat palił duszę do tego stopnia, że mógłbym wzbić się do lotu, gdybym tylko zechciał.

Ale nie chciałem wzlatywać, coś wstrzymywało me ciało, równocześnie spostrzegłem, że kiedy podchodzę do krzewów, kwiaty chowają ostrza liści i chylą przede mną kielichy, czarując mnie kokieteryjnie, i znów podnoszą i rozwierają płatki, bym mógł się nimi zachwycać. Pomyślałem, że to przywidzenie, ale oczy potwierdzały ten fakt, a wzrok miałem ostry, bardziej niż kiedykolwiek przenikliwy, i wcale nie zezowałem. Opanowało mnie wielkie wzruszenie, kiedy ujrzałem, jak kwiaty znów mi się kłaniają, i kiedy tak długim szeregiem kołysały się bijąc mi pokłony, poczułem głęboką tkliwość i za żadne skarby nie uczyniłbym im krzywdy, przechodziłem tylko obok ciemnych fiołków, jasnych floksów i fosforujących maków przyjmując hołd.

Zrozumiałem, że kwiaty chcą uczcić moją pracę, że dziękują mi za Egipcjan, więc łaskawie przyjmowałem ich szczerą przychylność i wyrazy zachwyty. Ale zimne źródła były w lipcową noc, niepostrzeżenie przemoczyłem nogi w wilgotnej trawie i raz po raz zacząłem kichać. Skoro organizm ostrzegł mnie w ten sposób przed niebezpieczeństwem grypy, zostawiłem kwiaty i nietoperze i po stromych schodkach wdrapałem się z powrotem na poddasze. Tym razem Egipcjanie słodko spali, nie przeszkadzając mi, choć zazwyczaj całymi nocami kręcili się niespokojnie, czuwając nade mną, trącali mnie łokciami i ciągnęli poduszkę, bym zwrócił na nich uwagę, nie miałem od nich chwili wytchnienia.

Usiadłem przy stole i zacząłem wpatrywać się w księżyc, który nagle stał się jak gorycz żółty i przerażający. W roztargnieniu pociągnąłem po raz drugi czarnoksięskiego napoju, a jego smak wydał mi się gorzki i mociniejszy niż przedtem, i dreszcz mnie całego przeniknął. Po chwili zaczęła mnie palić straszna gorączka i gdy spojrzałem przez okno, zobaczyłem na brzegu słabo kołyszące się w nocnym wietrze szuwały; nie była to już zwykła, jak za dnia, zielona trzcina, tylko w mych oczach zmieniła się w wiotkie, nagie dziewczyny, które po pas brodziły w wodzie, a lekki wiatr rozwiewał im długie jasnozielone włosy.

Przetarłem oczy, ale widok się nie zmienił; ponieważ jestem z natury wstydlivy, usiłowałem odwrócić wzrok, aby nie patrzeć na zakazany owoc. Ale muchomor palił mi wnętrzności, a czarnoksięski napój popychał w stronę trzciniowych dziewczyn, co nagie, młode i wiotkie brodziły po ciemnej wodzie w świetle księżycy. Gorączka mną trzęsła, że wstrętem myślałem o chłodnej wodzie, ale opanowała mnie straszna ochota wykąpać się wśród nocy, choć nie byłem już młody, czuprynę miałem przereźdzoną, a wchodząc po stopniach ciężko dyszałem. Przypomniałem sobie, jak to za młodych, swawolnych lat kapałem się nocami w pięciu jeziorach, bez specjalnego uszczerbku dla zdrowia, i uprzytomniłem też sobie, że pływanie miałbym ułatwione, bo i tak byłem już rozebrany i wystarczyło tylko zdjąć piżamę, aby wejść do wody. Rozsądek i przyzwoitość wysuwały mnóstwo zastrzeżeń, ale kiedy po raz trzeci skosztowałem muchomora, wszystkie opory stały się nieważne i łatwo znalazłem niezbity argument, że kiedy świeci gorzko-żółty księżyc, nie ma na świecie rzeczy zakazanych czy niebezpiecznych.

I tak się stało, że wcale nie wzbilem się w przestworza, jak początkowo sądziłem, lecz w przerażającym świetle księżycy zacząłem się cichaczem skradać, by nie obudzić psa, a pnie brzóz jak białe zjawy towarzyszyły moim krokom. Nad brzegiem, w żarzącym się blasku miesiąca, raz jeszcze stwierdziłem, że wzrok mnie nie mylił, bo niewielki zalew pełen był wiotkich, brodzących po wodzie dziewczyn, które płynnymi ruchami myły włosy. Taki obraz był zbyt kuszący jak na moją równowagę psychiczną i zapomniawszy o piżamie rzuciłem się do wody, aż bryznęło. Nogi grzęzły mi w mule, kaleczyłem się o ostre kamienie, gdy potykając się goniłem nagie dziewczęta.

Ogarnął mnie jakiś szal, by porwać którąś z nich w ramiona, blask księżyca i muchomor zezwalały na wszystko i zdawało się, że jeśli uda mi się złapać jedno z tych trzciniowych przywidzeń w objęcia, to nie zabraknie mi już w życiu niczego, już nigdy nie zaznam głodu ani chłodu, a wszystko, co jest we mnie zagadkowe, ucichnie i wreszcie się uspokoję. Dlatego też walczyłem z wodą, wyciągałem nogi z mułu, mokre spodnie oblepiły mi się wokół łydek, ale nagie dziewczyny, w przytłumionym blasku księżyca milczące i uśmiechnięte, dziewczyny o błyszczących oczach zwinnie wymykały mi się z rąk i chwyciłem w objęcia tylko szuwały, chłoszczące ostre trzciny, a one blaszkami liści jak ostrzem noży rozcinały mi dłonie i opuszki palców, kiedy na próżno starałem się je łowić. Ostre kamienie na mulistym dnie kaleczyły mi palce u nóg, choć wtedy nie czułem jeszcze złośliwego bólu, jaki wywołują małe rany. Wciąż jeszcze w zabłoconej piżamie rzucałem się, zanurzony po pas w wodzie, i chwyciłem szuwały w ramiona, aż skotłowałem wodę w zatoce i stała się mętna, a ja chlupałem nią tak donośnie, że kaczki z piskiem uciekały z własnych gniazd, a nur wcale niepobożnie zaczął się żalić i namawiać mnie do poprawy.

Zmęczyłem się w końcu, widząc, że trzcina to trzcina i że pod ciemną połyskującą wodą jest tylko dno, a na mim muł i szlam. Poczułem potworne rozczarowanie, bardziej gorzkie niż blask księżyca, rany na palcach, które zadały mi szuwały, zaczęły piec i palić, z palców nóg sączyła się krew. Mokry, zabłocony i zmarznięty przywlokłem się z powrotem na poddasze i uprzytomniłem sobie wreszcie, że nie jestem już młody. Lecz gdy znów dostałem się pod pieczę Egipcjan, choć tym razem towarzystwo było senne, ogarnęła mnie nieprzeparta chęć wypić do dna czarodziejską gorzycz. Widać pojąłem już, że napój czarownic przesłonił mi źrenice i musiał wierzyć w zjawy, ale chciałem wiedzieć, co jeszcze czarnoksięscy bogowie mieli mi do powiedzenia; uzyskali już to, że wszystkie kwiaty mi się kłaniały, a szuwały zmieniły się w mych oczach w prześliczne nagie dziewczyny. Bez trwogi wychyliłem jeszcze łyk czarodziejskiego napoju, a był to łyk tak mocny, że ogień przepłynął przez moje zmarznięte i nieszczęśne kończyny. Byłem widocznie słaby, nie wytrzymałem mocnego napoju, wychyliwszy ten ostatni haust zwałem się na łóżko i natychmiast

usnąłem, spałem jak zabity do białego rana i obudziłem się z tak potwornym pragnieniem, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem.

Podniosłem się z łóżka, trzymając głowę oburącz, i ku swemu przerażeniu stwierdziłem, że muchomor wcale we mnie nie zamarł, sen nie wymazał z mych oczu czarodziejskich obrazów, tylko wszystko wyjaśniał teorią przeciwieństw, i w porannym lipcowym świetle to, co nocą było kusząco miłe, gładkie i płomienne, zmieniło się w moich oczach w surowe i śmiertelnie ponure. Gniazdo muchołówek było puste pod moim oknem, pisklęta je opuściły. Koguty Adolf, Piotr i Gustaw chępliwie spacerowały po wiórach, ogonki zaczęły im wyrastać, a z gardziółków wydobywało się pierwsze pianie; i kiedy wsłuchiłem się uważnie, usłyszałem, jak śpiewały pieśń straszną, choć przedtem zawodziły tak wzruszająco tkliwym głosem; wychyliłem się przez okno, ogarnięty strasznym pragnieniem. Koguty Adolf, Piotr i Gustaw śpiewały tak:

Na próżno skrobiesz ziemię
i piejesz albo gdaczesz.
Jesienny chłód nadciąga,
i babka noże ostrzy.
Hej, Adolf, Gustaw, Piotr,
wspomnijcie czarny kocioł.
Skrzydełek nie rozwiniesz,
już głowę ci ucina,
czuć krwi kropelki parne,
jesień nadchodzi już
i babka czyści garnek.

Tak śpiewały kogutki ochrypłymi głosami, rozgrzebując wióry między białymi jak zjawy pniami. Pierwszy żółty listek spadł z drzewa i wiedziałem, że kogutki mają rację; jesień się zbliża, a w powietrzu czuć zapach krwi. Ale gruboskórny indyk Hamlet ani trochę nie przejmował się oznakami chłodnej jesieni, tylko syczał i z fioletowym karkiem kręcił się wokół cichej małżonki, rysując twardymi skrzydłami koła na piasku.

Cały ten dzień żyłem w zgiełku pożaru, z pomostu Tebów strażnicy faraona zrzucali ludzi krokodylom na pożarcie; wieczorem czułem się zupełnie chory i przeklinałem mojego Sinuhe, że opowiadał mi tak maka-

bryczne historie, choć był już stary, zmęczony i potwornie zgorzkniały od tych wszystkich okrucieństw, jakie oglądał na ziemi.

2

Napisałem do przyjaciółki i opowiedziałem wszystko, co mi się wydarzyło, nie mieszając w to jednak dzikiego kota i cygańskiego ogniska, napisałem tylko, jak kwiaty mi się kłaniały i jak trzciny zmieniały się w moich oczach w nagie dziewczyny. Odpowiedziała mi zaniepokojona, że z pewnością koniak mi nie służy, skoro mam tak groźne przywidzenia, i doradzała, bym szczelnie zamknął butelkę i schował ją za szafę. Jej troska bardzo mnie wzruszyła, chętnie spełniłem jej prośbę, bo spostrzegłem, że w butelce została już tylko kropelka, którą dla spokoju sumienia mogłem zachować na wypadek ukąszenia przez żmiję. Widziałem przecież na ścieżce w ogrodzie żmiję, ale leżała leniwie rozwalona, trzymając mysz w paszczy, i wcale nie miała zamiaru mnie ukąsić.

Ale jak już powiedziałem, troska mej przyjaciółki bardzo mnie wzruszyła, przypuszczałem, że musi mnie trochę lubić z daleka, bo dobrze mi życzy. Wiedziałem, że jeśli kobieta zaczyna mężczyznę lubić i chce jego dobra, to przede wszystkim zabrania mu czegoś, by odczuć nad nim swą władzę. Jest to niezawodna oznaka, dawniej strasznie mnie to denerwowało, ale o dziwo, tym razem było mi bardzo przyjemnie, tkliwość mnie ogarnęła i znów poczułem się doskonale; czarnoksiężskie obrazy rozprasały się w moim umyśle, oczy spoglądały znów trzeźwo. Dlatego dziarsko mogłem dać nura między te wszystkie brutalne, przykre wypadki i okrucieństwa, o których Sinuhe tak uporczywie mi opowiadał, że chwilami podejrzewałem, iż on lubuje się w swych opowiadaniach.

W taki sposób przewyciężyłem czarnoksiężskie pokusy i postanowiłem, że jeśli kiedyś oderwę się od Egipcjan, wezmę na warsztat zaczęta kiedyś sztukę o czarownicach i napiszę ją od nowa, uwzględniając zdobyte doświadczenia i zebrane niezbite dowody rzeczowe. Po to właśnie szukałem czas jakiś księgi czarów, o której dziki kot wspominał; wprawdzie odszukałem zburzoną chatynkę, zarośniętą zdziczałymi krzewami

malin, na kamieniu koło progu wygrzewały się na słońku zadowolone z życia jaszczurki, ale nie znalazłem żadnej księgi czarów napisanej, jak zapewniał dziki kot, krwią. Wywróciłem kilka płaskich kamieni, były pod nimi tylko białe glisty, i choć koło zmurszałego stropu leżało kilka kawałków pozwijanej kory brzozonej, to mimo najszczerzej chęci nie mogłem odróżnić na nich żadnych liter ani czarnej magii. Może była to wina moja czy też mojego wzroku, ale przypuszczam, że dziki kot pomylił się albo źle zapamiętał. Byłem z tego obrotu sprawy bardzo niezadowolony, bo gdybym ją znalazł, z przyjemnością oddałbym taką księgę czarów do muzeum Itä-Häme. Prawdopodobnie dziki kot po prostu mnie okpił, bo pozwoliłem psu zagnać go na drzewo, co pies czynił chętnie, nie szczędząc wysiłków. Kot był wściekły i potem przez wiele dni go nie widziałem.

Tak oto płynęły dni i tygodnie, mijały jak sen, jak błyskawice, potem już nie pamiętałem, co się którego dnia wydarzyło i czy właściwie cokolwiek się działo. Rodzina dawno już wróciła z podróży, choć prawie tego nie zauważyłem, i miała mnóstwo do opowiadania, chociaż niewiele z tych opowiadań zrozumiałem, tyle tylko, że statek zabrał z przystani jedynie połowę pasażerów. Ale dlaczego się tak stało, nigdy się nie dowiedziałem, bo jestem strasznie roztargniony i nawet najlepsza żona czy córka nie jest w stanie opowiadać tego samego po dziesięć razy mężczyźnie, który wlepia wzrok w sufit i wrzuca cukier do popielniczki albo w zamyśleniu podnosi dzbanuszek ze śmietanką do ust w przekonaniu, że pije kawę. Ta sprawa pozostała więc na zawsze zagadką, lecz muszę przyznać, że niezbyt mnie to interesowało, żyłem sobie bez tej informacji, miałem dość innych spraw do przemyślenia.

Im dalej postępowała moja praca, tym bardziej wciągała mnie w swój nurt, tak że podczas tych sierpniowych tygodni więcej żyłem z Egipcjanami niż w rodzinnym gronie i specjalnie nie obchodziło mnie, co jem czy piję, bylebym tylko dostał pieczeń wołową i zsiadłe mleko. Lecz gdy wiodłem taki syty i szczęśliwy żywot, ogarnęło mnie jakby uczucie głodu, choć nie byłem żądny żadnego ziemskiego pokarmu, i pragnienia, choć nie mogła go ugasić żadna, nawet najczystsza woda, nie mówiąc już o zsiadłym mleku.

Dlatego zaprzyjaźniłem się z królikami córki, które bardzo wyrosły, utyły i żarły ruszając mordkami, choć były to tak tępe stworzenia, że nie chciało mi się nawet zapamiętać ich imion. Przemówiłem do nich czule:

— Och, króliki, jesteście szczęśliwe i godne zazdrości, nie martwicie się o jutrzejszy dzień i choć czasem wymkniecie się z klatki, szybko do niej wracacie, bo nigdzie nie będzie wam tak dobrze i bezpiecznie jak tutaj, gdzie całe życie spędzacie miło i przyjemnie. Naprawdę jesteście szczęśliwymi stworzeniami i bardzo wam zazdroszczę tych bielutkich futer, które z każdym dniem stają się coraz bardziej czyste i lśniące, i wielkich pięknych uszu zwisających z ramion jak warkocze. Zazdroszczę wam waszej króliczej radości, która nie polega wyłącznie na żarciu, jak to dopiero teraz odkryłem, ale jest zwyczajna i nie przysparza wam najmniejszych problemów, podczas gdy moja gryzie mnie gorzej niż żmija, a do wszelkich moich sukcesów, przyjaźni, przyjemności czy zwycięstw domieszana jest gorzka kropla cierpienia.

Króle odrzekły chórem, trzęsąc z rozdrażnienia mordkami:

— Głupi człeku, gdybyś sam spróbował koniczyny, której twoja leniwa córka nigdy nam dość nie nazbiera, wreszcie byś wiedział, co to jest gorycz. W naszych ustach owies też jest zatechły, a marchew nie dość słodka, gryziemy ją, jakbyśmy jadły drewno. Nasze naczynie na wodę stale brudzimy, by w ten sposób okazać pogardę całej waszej władzy. Wcale nie czujemy się w klatkach dobrze, a jeśli nawet po ucieczkach wracamy tutaj, robimy to tylko na złość twojej głupiej córce. Sam widzisz, że większą część pokarmu niszczy pod nogami, dlatego że ona jest taka głupia, a ty przestań wreszcie pleść o głodzie i łaknieniu, bo nie masz pojęcia, co to prawdziwy głód i pragnienie, które nas stale trapią, i nigdy nie jesteśmy syte, a w ogóle to z całego serca gardzimy takim niewolniczym życiem.

Na podstawie powyższego przemówienia wysnułem wniosek, że króle są głupie i niewdzięczne, ale nie chciałem powtórzyć tego córce, bo kochała króliki, poza tym sądzę, że choćbym jej powiedział, nie dałaby mi wiary, bo miłość często bywa ślepa.

W każdym razie nadchodziła jesień, poranki stały się chłodne, rtęć na termometrze spadała wieczorami, córka zaczęła zbierać po kątach pod-

ręczniki szkolne i ciskała nimi ze złością, a żona cerowała ostatnią parę pończoch, bo przywiozła ich ze sobą cały worek i cerowała latem, choć moim zdaniem jest to najrozpaczliwsza na świecie robota. Nadszedł też dzień, kiedy i ja zakończyłem swoją pracę, a maszyna zrzuciła z czarnych ramion ostatnią kartkę. Zostawiłem samotnego Sinuhe w miejscu jego wygnania, na wybrzeżu Morza Czerwonego, by na nie patrzył, mimo że głowa go od tego bolała. Egipcjanie jeden po drugim zniknęli z mego poddasza i spokojnie mogłem zostawić Sinuhę na los własnego szczęścia nad morskim wybrzeżem, choć był moim przyjacielem, i to chyba najlepszym spośród wszystkich; bardzo był do mnie podobny i poznawałem w nim wiele własnych błędów i słabości, choć przeżył swoje życie ponad trzy tysiące lat przede mną. Mogłem go spokojnie zostawić nad morzem, dość już miał marności świata, smutku i wszystkich bezpłodnych zrywów i na ogół nic mu do szczęścia nie brakowało; jak mogłem najlepiej, zatuszowałem się o wszystko, zanim w końcu zostawiłem go samego, by się od niego oderwać. Gdzieś w zakamarkach duszy czułem, że cierpka mądrość Sinuhęgo zostawiła we mnie jakąś zadrę, że nadal istnieje coś, czego Sinuhe nie znalazł i czego ja muszę szukać, zanim będę gotów.

Ale słowo „gotów” jest przerażające, bo oznacza ono, że człowiek dojrzał już do śmierci. Dlatego się ucieszyłem, gdy spostrzegłem, że nie jestem ani gotów, ani doskonały, że mam wiele braków, a moje książki pod wieloma względami są błędne, połowiczne i nie oddają tej wielkiej radości, jaką sprawiło mi ich tworzenie. Dlatego straszne byłoby stwierdzenie, że się jest gotowym i dojrzałym, że nie ma żadnych poprawek, że nie ma w życiu niczego, o co warto by się pokusić. I myślę, że człowiek umiera z chwilą, gdy zamknie się w swej doskonałości, choćby jego ciało umarło dużo później. Gdy spotykam ludzi zbyt pewnych siebie, ludzi, którzy gotowi są wydawać apodyktyczne opinie i sądy, wydaje mi się, jakbym czuł dokoła nich trupi zapach. Ale może to tylko zawiść, bo nigdy jeszcze nie byłem całkowicie o czymś przekonany i znajduję u siebie wiele wad, braków i błędów. Muszę przyznać, że nawet jako fabrykant gwoździ daleki byłem od doskonałości i może była to jedna z przyczyn mojej rezygnacji, bo choć częściowo, niezależnie od pozornych sukcesów, przewidziałem swoją klęskę. A może ta moja chandra i niepokój ducha

są nastrojem królika? Bo muszę przyznać, że istotnie nie jestem siebie pewien.

Czytelnik może się zdziwi, dlaczego w tak poważnym opowiadaniu cytuję te dziwaczne myśli, ale narodziły się one, kiedy w końcu po długim czasie zamknąłem maszynę i kiedy Sinuhe mógł spokojnie odejść. Były to myśli zmęczonego i szczęśliwego robotnika i nie warto poświęcać im zbyt wiele uwagi, bo powstały w gorącej głowie, gdzie tlił się powolny płomień, który w końcu zaczynał ciemnieć i gasnąć. Były to myśli po ukończeniu ważnej dla mnie pracy i dlatego wplotłem je w to opowiadanie.

Kiedy wreszcie z pustego poddasza zstąpiłem na ziemię i trzeźwymi oczyma spojrzałem dookoła, uderzyła mnie głęboka cisza na podwórku. Wydało mi się, że w powietrzu unosi się zapach krwi, jak to przewidywały koguty, choć las jeszcze czarował bogactwem złota. Zielenią brzoź i złotymi iskierkami oczu spoglądał na mnie las, bezgłośnie i bez tchu, podczas gdy moje nogi wiodły mnie wprost do komórki, gdzie w haniebnej pozycji, łapami do góry, z uciętym łbem wisiał Hamlet, co pysznił się niegdyś lśniącym upierzeniem, a teraz całą ziemską wspaniałość miał już za sobą. Jego nieśmiała małżonka Ofelia poświęcała mu po jego śmierci nie więcej uwagi niż za życia; jak zwykle, perłowszara, spokojna i skromna, grzebała piasek na podwórku.

Zniknęły też koguty Adolf, Piotr i Gustaw. Kiedy ujrzałem na ogniu czarny kocioł z wrzątkiem, a obok noże i słoiki, dreszcz mnie przeniknął i zrozumiałem, że nieodwołalnie nadeszła jesień, że najszczęśliwsze lato mego życia minęło bezpowrotnie. Dlatego las patrzył na mnie tak uparcie złotymi iskierkami oczu, dlatego woda nad brzegiem była ciemna od chłodu, dlatego trzciny tak pożółkły.

Rodzina gorliwie ładowała kurczaki i delikatne mięso cielejące do słoików, pies również dostał swoją część i oszołomiony bogactwem targał zakrwawione strzępy po podwórku. Łapał zdobycz, ze strachem rozglądał się wokoło i szukał kryjówki, by schować kości na potem, i gorąco w swej czarnej kosmatej duszy rozślawiał jesień. Istotnie wydaje mi się, że dla psa jesień była najlepszą, cudowną porą roku, chociaż tajemne schowki zepsuły mu humor.

Tak więc koguty Adolf, Piotr i Gustaw w zapakowanych słojach zaczęły swą długą podróż do miasta w towarzystwie indora Hamleta, którego mięso było smaczne, białe i soczyste, ale przez te nieustanne przekleństwa, jakich nasłuchałem się od niego w ciągu lata, czułem w nim zapach siarki. Córka też wyjechała do szkoły, a z nią żona, która uprzednio zaopatrzyła mnie w wiele życiowych rad i wskazówek. Obydwie były ładne, opalone i smukłe, córka wyrosła przez lato o pół głowy, więc nie była już moją małą córeczką, tylko niemal dorosłą panną i zdając sobie z tego sprawę, odpowiednio się zachowywała, tak że w dzień ich wyjazdu czułem się bardzo osamotniony.

Ale na poddaszu wisiało na ścianie ładne zdjęcie, na którym oczy, jak dym niebieskie, patrzyły w dal poprzez wszystkie marności świata, piękne usta uśmiechały się leciuteńko, a białą szyję przysłaniały kunsztowne cienie dobrane przez zdolnego fotografa. Zdjęcie to przypiąłem złotą szpilką nad książkami w moim pokoju i kiedy na nie patrzyłem, czułem głód nawet po solidnym posiłku, i paliło mnie pragnienie, choć na stole czekał dzban świeżej wody, po który wystarczyło tylko ręką sięgnąć. Widocznie człowiek nigdy nie zadowolony się tym, co posiada, tylko wiecznie wyciąga chciwe ręce, a jeśli jest mu dobrze, za wszelką cenę stara się to szczęście zniszczyć, bo nigdy nie jest kontent ze swego losu, bo sam kręci na siebie bicz i szuka zgryzot na własne utrapienie — takie są cechy żywego człowieka. Podobnie było ze mną, kiedy patrzyłem na piękne zdjęcie mojej przyjaciółki, przypięte złotą szpilką do ściany, ale winię za to moje złe, zbłąkane serce, nie siebie, bo jestem leniwy, lubię spokój i wygodę.

Kogoś może zdziwić, że oskarżam serce, które w owym czasie znajdowało się pod dobrą opieką w rękach mojej przyjaciółki i ponoć nie sprawiało jej kłopotów. Trudno mi to będzie wytłumaczyć, ale faktem jest, że kiedy skończyłem książkę i zastanowiłem się, jak by się tu wyrwać z więzów pracy, puste miejsce po sercu zaczęło mi potwornie doskwierać. Może było to zjawisko czysto fizyczne, coś, o czym w szkołach uczą i co naukowo zwą *HORROR VACUI*.

W każdym razie noce były ciemne od chłodu, deszcz bębnił po dachu, a przeraźliwie czarne gałęzie drapały jego blaszane pokrycie. Wtedy właśnie poczułem straszny niepokój, puste miejsce w mej piersi paliło i piekło, że spać nie mogłem, książki, dobre czy złe, mnie nie cieszyły, tylko

leżałem wpatrzony w sufit i w głębi duszy rozgryzałem najsmutniejsze problemy. Taki żal i niepokój mnie ogarnęły, że już decydowałem się sięgnąć po ostatnią kroplę czarodziejskiego płynu, ale zdrowy rozsądek powstrzymał mnie od tego kroku, zrodziła się natomiast we mnie tęsknota za moim sercem. Zapragnąłem je odzyskać, zatrwożyłem się, czy nie stało mu się coś złego. Napisałem więc do przyjaciółki i prosiłem, by na wszelki wypadek wpakowała moje serce do zimnej wody, bo się boję, by nie spowodowało pożaru i nie spaliło do cna wszystkiego, co ona ma u siebie wartościowego, tego bym przecież nie chciał. Jeśli idzie o ścisłość, to moje serce jest groźne i niebezpieczne, ostrzegałem ją zresztą i wyliczyłem jego wady. W związku z powyższym byłoby chyba najlepiej, gdybym zabrał to serce z powrotem, nim zdąży za wiele nabroić. Czy nie mogłaby wysłać go pocztą, choć to ryzyko, w tych czasach paczki nieraz giną. Poza tym władze też sprawdzają często zawartość paczek i kiepsko by się stało, gdyby uznały moje serce za niedozwoloną przesyłkę mięsną i oddały je do sklepu odpowiedniej branży, tego sobie absolutnie nie życzę, moja kapryśna natura bowiem znów tęskni za sercem, które wydaje mi się nagle bardzo ważne i drogie, choć tak długo obchodziłem się bez niego.

Tak więc, kiedy czarne gałęzie były po nocach w blaszany dach, czekałem z niecierpliwością na odpowiedź mojej przyjaciółki. Wypatrywałem też niespokojnie, czy sowa wróciła ze swej leśnej rezydencji, chciałem z nią pogadać i zasięgnąć rady w sprawach, które przekraczały moje umiejętności rozumowania. Przypomniałem też sobie świniarkę Santre, o której kot wspominał, ale wahałem się, czy iść do niej z tą delikatną sprawą, skoro jej nie znam; co prawda córka znała ją dobrze, bo Santra opiekowała się świnią we dworze i stąd otrzymała tak rzadkie imię.

Oczekiwanie dłużyło się, woda stawała się coraz chłodniejsza, a deszcz pobrudził i zniszczył delikatny puszek w gniazdku muchołówki, puszek, który samiczka wyskubała z własnej piersi, kiedy urządziła gniazdo i nie podejrzewała jeszcze, że z jej piskląt wyrosną wielkie, grubiańskie i chciwe ptaki, co zaraz, gdy tylko nauczyły się ruszać skrzydłami, odleciały i nie sprawiły matce żadnej radości. A ja niecierpliwie czekałem na swoje serce, choć wcale nie wiedziałem, czy da mi ono radość i szczęście. Mam widać krótką pamięć i szybko wybaczam. Dlatego dawno już, na szczęs-

cie, zapomniałem, ile bezgranicznych przykrości, zła i smutku przysporzyło to serce mnie i innym. O mnie tu już nie chodzi, ale powinienem był pomyśleć o innych i oszczędzić im trosk, jakie moje serce sprawiało. Ale myślałem tylko o sobie, bo żyłem sam w dzikiej głuszy, i w ogóle najczęściej myślę o sobie, pod tym względem nie różnię się od innych.

3

W tym czasie pies schudł, nastroszył się, stracił dobry humor, mimo iż jesień przyniosła mu tyle bogactw, gryźł go bowiem stały niepokój o ukryte skarby, nie mógł już ani godziny spokojnie podrzemać na tapczanie, wiecznie wstawał, chodził i wyteżał słuch, i robił obchody jednej kryjówki za drugą. Bał się, że jakiś dziki kot albo chytry zbłąkany lis może znaleźć soczyste kości, które zagrzebał w różnych miejscach na cyplu, w ogrodzie, w lesie, i starannie zasypał ziemią. Strach przed taką niepowetowaną stratą wiecznie go dręczył, tak że nie miał ani chwili spokoju, nawet w nocy zalił się i wzdychał, i szczekał przejmująco, bo we śnie widział potworne zjawy lisów i kotów, które wyszarpywały z jego kryjówek drogie kości.

Najgorsze, że trapiła go straszna niepewność, czy przypadkiem nie zapomniał o jakiejś kryjówce, bo kości przybyło nagle wiele, i to przeróżnych, aż do ogonka cielecego włącznie. Męczyła go myśl, że a nuż gdzieś tam soczysta kostka zgnije na darmo, bo w pośpiechu zapomniał, gdzie ją zakopał. Dlatego też wieczorami przesiadywał w drzwiach, choć na dworze było już zimno i wilgotno, a chłodne schody złośliwie ziębiły jego delikatną pupę. Ze smutkiem patrzył na czerwony zachód słońca, słuchając jednym uchem skrobania szczura pod progiem, a szparkami oczu wypatrywał dzikiego kota, który może właśnie w tej chwili kręci się po zaroślach. Usłyszałem też kiedyś, jak śpiewa, a śpiewał cichutko sam do siebie, wpatrując się smutno w czerwony zachód słońca:

Bogactwem tylko się zadreczysz,
gdy wszystko w ziemi musisz grzebać,

więc tylko trosk mi przysporzyła
kostka, choć pyszna jest i miła.

Jego zachowanie było dla mnie doskonałym przykładem złej strony bogactwa i tych niezliczonych kłopotów, jakie wiążą się z problemem posiadania. Pies niewiele różnił się od tych ludzi, którzy zakopali swoje majątkość i bezustannie wyrzekają i zrzędzają. Tak to pies nauczył mnie cieszyć się z wysokich podatków, które musiałem zapłacić, bo im zawdzięczałem wyzwolenie się z branży kupieckiej i związanego z tym oszczędzania i gromadzenia na przyszłość.

Kiedy wieczory pociemniały, a świetliki zaczęły żarzyć się niebieskawym światłem w czarnej trawie, bezpowrotnie wraz z latem zniknął miękki, czarujący świst nocnego ptaka. Pewnego dżdżystego wieczoru otrzymałem w końcu odpowiedź przyjaciółki, która pisała mi w liście, co następuje:

„Kochany Przyjacielu!

Rozumiem dobrze, że zaczynasz już tęsknić za swoim sercem i że jest Ci potrzebne. Gdy więc będziesz następnym razem w mieście, zwrócę Ci je, choć wolałabym go nie oddawać. Dotrzymuje mi towarzystwa i niewiele różni się od małego, miękkiego kociaka, którego lubię tulić do siebie, i mam wrażenie, że dobrze mu w mych objęciach. Kiedy byłam małą, widziałam raz kotka, którego złe dziewczęta dręczyły, uciekł więc z domu i cały dzień nie wracał, choć dorośli go szukali. Wieczorem ludzie o nim zapomnieli. Wtedy poszłam go szukać, chociaż byłam mała, i wołałam cichutko: «Kiciu, kiciu!» Trawa była mokra, wyższa ode mnie, ale w końcu daleko na skraju lasu odnalazłam kotka; łapkę miał okaleczoną, tak strasznie go dręczono. Miauczał żałośnie, gdy wzięłam go na ręce, i na pewno dobrze się stało, że go znalazłam, bo był jeszcze bardzo malutki i bolała go łapka.

Miałam uczucie, jakby Twoje serce było takie samo jak tamten kotek na moim ręku. Ale jego łapka już się na pewno wygoiła i odnoszę wrażenie, jakby u jego miękkich łapek zaczynały wyrastać pazury. Dlatego będzie chyba najlepiej, jeśli oddam Ci serce, zanim nie podrze mi poduszek

na tapczanie, nie ściągnie obrusa albo nie stłucze mojego ślicznego wazonu. Więc do widzenia!

Wszystkiego najlepszego!

Twoja przyjaciółka”

W rzeczy samej porównanie mojego wielkiego, dzikiego serca z chorym kiciusiem dalekie było od pochlebstwa, ale wówczas wcale na to nie zwróciłem uwagi, byłem strasznie zaślepiiony. Cieszyłem się tylko ogromnie, że wkrótce spotkam przyjaciółkę, mieliśmy sobie wiele do powiedzenia, chcieliśmy podyskutować o książkach, obrazach i o sztuce. Tak sądziłem i w duszy radowałem się, że niedługo odzyskam serce, w ogóle nie pojmowałem, jak mogłem w dzień Zwiastowania zostawić je na obcej pościeli. Tak, teraz moje serce wydawało mi się niezmiernie cenne i ważne. Gorąco zrobiło mi się na myśl, że niedługo je odzyskam, i dla ochłody robiłem długie spacery po rozmiękłych drogach. Chodziłem więc po królestwie pluchy i wiatru, zimne krople padały mi na twarz, mokre liście lgnęły do butów, a las wokół mnie nabierał pod wieczór, jak śmierć, kolorów żółci i fioletu.

Lecz kiedy tak spacerowałem, miałem wciąż w pamięci słowa wyczytane z jej poduszki, choć napisała to niewidzialnymi literami. Te same słowa wyczytałem z jej oczu, choć przejrzyste i jak dym niebieskie uśmiechały się do mnie. „Szczęście jest jak sen”, grało mi w uszach i ogarniała mnie niewysłowiona pustka; znów jakbym nagle leżał na dnie otchłani, a gdzieś daleko przelatywały nade mną złote ptaki, których nigdy nie mogłem posiąść. Dlatego pomyślałem, że zrobię wielkie głupstwo wyjeżdżając z ciemnej głuszy do światła miasta, by odebrać swe serce. Popelnię na pewno wielkie głupstwo, bo zbyt mocne światło oślepią wzrok przywykły do ciemności i z pewnością przyjaciółka nie jest taka, jaką ją pamiętam, lecz zupełnie inna, taka sama jak kobiety, które niegdyś całowałem, by potem jeszcze boleśniej odczuć, jak głęboko i jak samotnie leżę na dnie otchłani. Dopiero bliskość ciała drugiego człowieka pozwala nam w pełni zrozumieć swoją samotność, a jest to chyba samotność trójnogiego mężczyzny na tym niebieskoszarym płótnie, które w dzień Zwiastowania kupiłem w mieście mojej młodości.

Chodziłem więc niespokojnie po zabłoconych drogach, jesienny las szumiał groźnie i gdzieś z daleka usłyszałem gromki wystrzał śrutówki i galop zdyszanych psów, co z wywieszonymi jezorami pędziły po lesie tropami śmierci. Przyspieszyłem kroku, ale i tak słyszałem teraz skradające się kroki szlifierza noży i nie mogłem się od tego uwolnić. Kroki szlifierza uparcie mnie prześladowały, bo jestem tylko człowiekiem i mimo wszelkich przestróg, zachwycony myślałem o tym, że jadę do miasta odebrać swoje serce.

W ten sposób, zdenerwowany i spocony, przyszedłem do dworu, a na drodze stał wielki czarnobrunatny byk. Kiedy mnie ujrzał, opuścił łeb i zaczął ryć ziemię kopytem; mocny łańcuch doczepiony do koła w nozdrzach był zamocowany u pała, więc mogłem się nie bać jego sapania. Mimo to bałem się, byk był wielki, czarny i parskał na mnie, i byłem pewien, że jest na mnie wściekły za to, że nie pomyślałszy o konsekwencjach opowiedziałem ustami Sinuhego o byku z Krety.

Lecz kiedy szczęśliwie go ominąłem, spotkałem nadchodzącą świniarkę Santrę, pozdrowiłem ją grzecznie zdejmując kapelusz, choć była to tylko mała, lubiąca trunki baba; była w brudnych gumowcach i chustce na głowie, a w miednicy niosła kilka solonych płoci. Pozdrowiłem ją z szacunkiem, bo córka opowiadała mi, jak bardzo Santra lubi świnie i że opiekuje się nimi jak własnymi dziećmi. Istotnie nic na świecie nie było jej tak drogie jak świnie, czuwała po nocach i karmiła z butelki małe, chore prosiaczki, a duże leczyła własnymi sposobami tak drakońskimi, że nawet boję się je wymienić, by nie obrazić co wrażliwszych osób — ale skutki tej kuracji były dobre.

Pozdrowiłem więc ją z szacunkiem, a równocześnie ogarnęła mnie głęboka rozpacz.

— Santro-świniarko — spytałem — powiedz mi, czy na świecie nie ma nic doskonałego i pewnego, czy szlifierz noży musi deptać mi po piętach nawet w moich myślach i czy szczęście jest jedynie snem?

Świniarka Santra odpowiedziała mi jasno i prosto:

— Drogi panie, ubiegłej nocy widziałam we śnie nieboszczyka Oskara, był znów żywy i chrząkał, i trącał mnie ryjkiem; tak się ucieszyłam i dzi-

siaj cały dzień chodziłam uszczęśliwiona, a pani dała mi jeszcze z ceberka te solone płotki.

Wiedziałem, że mówi o stadniku dworskim, który nazywał się Oskar, Santra była przekonana, że zdechł z głodu, gdy ona uciekła kiedyś z dworu. Nie wytrzymała zresztą długo bez swoich świń, a po jej powrocie zdarzyło się, że Oskar zdechł, i Santra nigdy nie mogła sobie tego wybaczyć.

— Płakałam gorzkimi łzami — rzekła — gdy siedziałam przy nieboszczyku Oskarze i klepałam jego wychudłe boki, a szczecina kłuła mi ręce. Takiego stadnika jeszcze nigdy nie było, a ten nowy nie umywa się nawet do tamtego, bo nieboszczyk Oskar rozumiał każde moje słowo, wierzę, że w niebie spotkam Oskara, skoro widziałam go ubiegłej nocy we śnie, choć pastor mówi, że świni nie mają duszy. Ale jeśli moje świni nie dostaną się do nieba, to naprawdę z całą chęcią pójdę za Oskarem do piekła. Powiedziałam to wprost pastorowi, ale on rzekł, że to bluźnierstwo.

Świniarka Santra ocierała z oczu łzy, które jak krople rosy spływały po jej pomarszczonych policzkach. Ale ja nie miałem z tego żadnej pociechy, Santra nie była w stanie odpowiedzieć na moje pytanie, uczepiła się mego rękawa i zaczęła opowiadać o wielu dolegliwościach żołądkowych nieboszczyka Oskara, które leczyła świeżym mulem i łajnem. Po-dejrzewałem teraz, że dziki kot nabrał mnie z tą zbytnią wiarą w mądrość świniarki Santry. Dlatego grzecznie ją pożegnałem i uwolniłem się od niej, choć miała jeszcze w zanadru mnóstwo opowiadań o stadniku Oskarze.

Wracałem więc ciemniejącą drogą w stronę ciemnego lasu, a czarno-brunatny byk ryczał przy drodze i kroki szlifierza deptały mi po piętach. Sowa nie przyleciała jeszcze z letniej rezydencji z ciemności boru, aby ogrzać się przy kominku, choć świat wokoło był chłodny, nawet pies miał własne kłopoty w związku z zagrzebanymi kośćmi, tak że nie otrzymałem żadnej rady ani wskazówki w tak poważnej, dręczącej mnie kwestii.

Dlatego następnego dnia wyjechałem do miasta, by odebrać swoje serce, bo nie mogłem już swobodnie oddychać, miałem uczucie wiecznego ucisku i bólu w piersi.

CZWARTY ZMIERZCH

1

Tak więc wróciłem do domu i żona powitała mnie serdecznie. Wytwornie się znów ubrała i twarz upięknszyła miejskim zwyczajem, była więc w mych oczach bardzo ładna i pociągająca, czyli oboje cieszyliśmy się sobą. Córka też powitała mnie przyjaźnie, spytała, jak się czują króliki, i poinformowała, że zaczęła uprawiać jeździectwo, bo lubi wielkie zwierzęta. Wraz z jazdą konną nabrała też wstrętu do mydła, by nie rozwiać czarującego końskiego zapachu, a ja nie zamierzałem jej zmuszać do mycia; w wychowaniu człowieka nie cierpię przymusu i chętnie przystaję, by każdy był na swój sposób szczęśliwy, jeśli to tylko nie koliduje zbytnio z moją wygodą lub nie godzi w moje własne szczęście.

Patrzyłem znów na trójnogiego mężczyznę, który, doskonały i bezbłędny, kroczył w kosmosie błękitu i szarości obrazu, z dala od bólu i tragizmu życia, bo żył w swoim własnym poziomym świecie. Kiedy mu się przyglądałem, przyszła moja przyjaciółka odnosząc mi, jak obiecała, moje serce, a żona taktownie zostawiła nas samych, byśmy spokojnie mogli porozmawiać o książkach, obrazach, o pięknie i o mym sercu. Jeżeli jednak idzie o ścisłość, żona nic o sercu nie wiedziała, bo niczego jeszcze nie zauważyła albo też rozsądnie milczała, zadawałając się mną takim, jakim byłem, bo zbyt dobrze mnie już znała. Byłem zresztą z tego ogromnie rad, zawsze bałem się przykrych wyjaśnień i jak tylko mogłem, unikałem ich.

W ten więc sposób spotkałem znów swoją przyjaciółkę i kiedy na nią spojrzałem, rozwarła się nade mną jasność Zwiastowania, a na strzechach

zalsniły jarzące się iskierki, choć była późna jesień i padał deszcz. Była, moim zdaniem, piękniejsza, niż pamiętałem, i jakieś smutne marzenie czaiło się głęboko na dnie jej siwoniebieskich oczu. Ale bez wahania, bez ceregieli oddała mi moje serce, po czym rozmawialiśmy spokojnie i rzeczowo o dobrych i złych książkach, o głupich i mądrych malarzach, o pięknie i dobru, ale o tęsknocie i samotności człowieka nie mówiliśmy wcale.

Serce znów trzepotało w mej piersi i czułem, jakby świeża, ciepła krew krążyła w moich żyłach; gdy patrzyłem na mą przyjaciółkę, ogarniała mnie chmura ognia, a kiedy jej ręka z lekka mnie dotknęła, dreszcz przenikał całe ciało od czubka głowy aż do stóp. Naprawdę czułem się w jej towarzystwie jak w gorącej łaźni, rozsądek rozplýwał się i cała mądrość wysychała jak grudka szlamu, kiedy patrzyłem na moją przyjaciółkę.

„Może prawdą jest, że na świecie nie ma nic stałego, a myśl jest czystym nonsensem, że szczęście jest jak sen, a twoja przyjaciółka jest tylko ciałem i krwią, jak i ty, i nie wątpię, że od twego dotyku ona zadrży tak samo bezmyślnie jak ty, gdy dreszcz cię przeniknął od stóp do głów. Jesteś doprawdy bałwan i jeszcze bardziej bezradną ciapą, niż myślałem, skoro nie potrafisz wykorzystać okazji i złapać w garść szczęścia, gdy ci się trafia; kto zagwarantuje, czy kiedykolwiek jeszcze będziesz miał taką okazję, przecież starzejesz się, łysiejesz i już lekko sapiesz wchodząc po schodach. Bardzo też możliwe, że nigdy więcej nie spotkasz swojej przyjaciółki.”

Lecz kiedy serce przekazywało te słowa do mózgu, usłyszałem w przedpokoju skradające się kroki szlifierza, znów opanowałem się i ostro zgromiłem serce słowami: „Milcz, głupie serce, przestań podjudzać mnie do bezmyślnych czynów; nie ma rzeczy bardziej kruchej i wiotkiej niż ludzkie szczęście, a marzenie piękniejsze jest od rzeczywistości. Dlaczegoż bym miał to moje marzenie niweczyć tak samo podle, jak przyzwyczaiłeś mnie to czynić w minionych latach naszego przykrego współżycia?”

Ale serce nadymało się w mojej piersi, drwiło ze mnie i mówiło:

„Jesteś tylko tchórzliwym hipokrytą, bo wiesz dobrze, że tamte metody są ci bardzo miłe, że dawniej nie bałeś się pić z obcych źródeł i piłeś z wielu, i to brudniejszych. Prawdę mówiąc, boisz się tylko, że ona ucie-

knie od ciebie, gdy ją tkniesz i zaczniesz wdrapywać się po otaczającym ją murze, ale nie martw się, znam już ją dobrze i w zasadzie nie myślę się, jeśli o kobiety idzie, jak sam zresztą dobrze wiesz. Jej mur już runął, jest ona bezbronna, a woda z jej źródła jest czysta, więc z przyjemnością ugasisz pragnienie.”

Równocześnie przyjaciółka krzyknęła z przestrachem i spytała, dlaczego tak zbłądłem. Może istotnie zmieniłem się na twarzy, bo nagle jakby błyskawica rozwarła się przede mną i w jej oślepiającym blasku zrozumiałem wszystko; kroki szlifierza głucho dudniły po schodach, kiedy drżącym głosem rzekłem:

— Najdroższa, obawiam się, że ciebie kocham, bo nie odważę się już całować ciebie, bo lękam się, że odejdiesz, jeśli cię pocałuję.

Ponieważ jestem tylko człowiekiem, całowałem ją mimo wszystko, choć była mą przyjaciółką, i przez chwilę gościliśmy oboje w rajskim ogrodzie, a wąż syczał nam obłudnie: „Nigdy nie umrzecie.” Ale sądzę, że żadne z nas nie słyszało węża, słuchaliśmy tylko naszych oczu, ust i rąk i kiedy ją całowałem, wydawała mi się kobietą bardzo piękną.

Byłem jednak zawsze zdania, że zbyt wielką wagę przypisuje się pocałunkom, to w gruncie rzeczy niewiele łączy obie strony, po prostu dorosli całują się wtedy, kiedy nic ciekawszego nie wymyślą. Niektórzy całują, gdy nie znajdują odpowiedniejszego tematu do dyskusji z obcą osobą, inni zaś naprawdę tylko po przyjacielsku, by sprawić przyjemność drugiej osobie, a w ogóle całowanie nie jest najgorszym tematem.

Lecz kiedy całowałem przyjaciółkę, czułem, jakbym całował czerwony kwiat, który swym dotykiem pali mi żyły, i to mnie bardzo zaniepokoiło. Dlatego powiedziałem:

— Kochana moja, nie znasz mnie wcale i nie znasz mego chciwego, zachłannego serca. Lepiej szybko stąd odejść, bym nie zaciągał wobec ciebie żadnego długu ani ty nie byłaś mi nic dłużna, tylko żebyśmy zapomnieli o sobie, nie ma nic wiecznego i o wszystkim się zapomina, a piasek czasu zasypuje kiedyś najczystsze marzenia.

Ale moje przeklęte serce od razu podskoczyło z zachwytu i wykrzyknęło ironicznie: „Świetnie powiedziane, chytrze powiedziane, stary obłudniku. Ciągnij dalej swoje kłamstwo, bo przecież nie puściłbyś jej, choćby

próbowała odejść, zatrzymałbyś ją siłą i uczynił wszystko, żeby została tak długo, aż będziesz miał jej dosyć, tak jak miałeś dość innych, które ci podsuwałem w chwilach twojej słabości.”

Przyjaciółka rzekła:

— Dobrze mi jest z tobą, choć może nie powinnam tego mówić. Jednakże wiem, że nigdy mnie nie skrzywdzisz, a wszystko, co uczynisz, będzie dobre.

Wówczas załamałem się i znów byłem sam w ciemnym lesie, gorzko załkałem i rzekłem:

— Nie znasz mnie, jestem zupełnie inny, niż myślisz, i twoje czyste serce nie widzi ciemności, jaka czai się we mnie. A może jestem jak małż, który cały swój wiek przywiera mocno do skorupy, a nie ma w nim nic poza dobrym, jędrnym muskułem, który tak mocno ściska pancerz, że trzeba go otwierać ostrym nożem. Jestem takim właśnie małżem, chyba pod każdym względem go przypominam i nie ma we mnie nic, co godne byłoby miłości, może prócz tego, że zawsze byłem bardzo szczelnie opancerzony. W mroku pancerza hołubiłem każdą drobinę smutku i odłamki bólu, które otaczałem perłami, choć gatunek i wielkość perły nie są zależne od woli małża, z bólu i męki rodzą się również perły nieregularne i nieczyste. Ale wszystko to rodzi się w bólu i męce i dlatego lata całe zamykałem szczelnie pancerz, by nikt nie miał tu dostępu.

Wtedy przyjaciółka zbliżyła swoją twarz ku mojej, zbliżyła swą twarz cichą i gorącą, i wtedy rozwarł się mój pancerz w cudownej boleści, dreszcz we mnie ucichł i świeża, przezroczysta woda wdarła się do pancerza, tak iż serce raz chociaż przestało sztywnieć; trzepotało zdumione, niczego podobnego jeszcze nie doświadczyło, choć sądziło, że doznało już wszystkiego, co tylko ludzkie serce doznać może. Miało ono widać, tak jak i ja, krótką, bardzo krótką pamięć.

2

Kiedy deszcz ustał, odprowadziłem przyjaciółkę do domu, niebo było pełne gwiazd, a powietrze wokoło umiarkowanie letnie. Również szlifierz poszedł widać spać, bo nie słyszałem już za plecami jego skradających

się kroków. Nie wstydząc się wcale ludzi całowałem przyjaciółkę w każdym zakątku, bym mógł znów kochać ulice, których nauczyłem się nienawdzić, i całowałem ją przy każdym drzewie, co rwało się do życia w rozgwarze miejskich ulic. Kochałem nawet jej śliczny kapelusik, bo miał na sobie zieleń i kitkę jak u małej dziewczynki, choć była już dorosłą kobietą, i to odpowiedzialną za swoje czyny. Gwiazdy tej nocy były bardzo jasne i kiedy odprowadziłem ją do drzwi, powiedziałem jej szczerze swoim zwyczajem:

— Nigdy na serio nie pragnąłem śmierci, ale w tej chwili chciałbym umrzeć, zanim się z tobą rozstanę, bo wszystko, co stanie się potem, będzie złe i niedoskonałe, i może nawet brudne, ale to, co jest teraz, jest doskonałe i czyste, i nigdy takie samo nie wróci. Dlatego chciałbym umrzeć w tej chwili, gdy patrzysz na mnie jasnymi jak gwiazdy, pełnymi łez oczyma. Po tej chwili będzie już tylko namiętność, smutek, rozczarowanie i zapomnienie, a nie chciałbym za nic, byś mnie zbyt nisko ceniła.

Przyjaciółka podziękowała mi za te słowa i zapewniła, że sprawiły jej one ogromną radość, po czym rozstaliśmy się życząc sobie dobrej nocy. Wracałem do domu i zakochanym spojrzeniem obejmowałem kamienną pustynię, bo zza każdego węgła ulicy, spod korzeni każdego drzewa wytryskiwało przede mną czyste źródło, kochałem gwiazdy i samotne konie w ich nocnej włóczędze. Kochałem też gorąco i czule swoją śliczną żonę, gdy wróciłem do domu, i sędzę, że kochałem ją teraz więcej niż kiedykolwiek przedtem — a może miałem po prostu wyrzuty sumienia, bo zdawało mi się, że skradłem dla siebie i ściągnąłem na biedną, cierpiącą ziemię kawałek błękitnego nieba.

Odwiedziłem potem przyjaciółkę w jej mieszkaniu; stał tam piękny fotel, gdzie wygodnie było siedzieć, ale ten fotel mnie nie uspokoił, ani nawet dobra, mocna kawa. Moje zachłanne serce zwiodło mnie i odniosło triumf nad rozumem i wolą; namiętnie tuliłem przyjaciółkę w ramionach, choć wiedziałem, że źle wobec niej postępuję i chyba źle w stosunku do tego małża, który tkwił we mnie. Moje nieczne serce zwodziło mnie, a ona nie podejrzewając zła odpoczywała słodko w mych ramionach, wprost bezlitośnie słodko leżała w mych ramionach, aż nagle z przerażeniem dotknęła ręką twarzy i z okrzykiem zerwała się, by przejrzeć się w lustrze.

Ja też krzyknąłem ze strachu, gdy zobaczyłem, co się stało, mój dotyk bowiem zmienił jej twarz w jedną plamę i piękna cera pokryła się czerwonymi swędzącymi wypryskami, tak samo jak piękna biała szyja; w jednej chwili straciła ona całą swą urodę. Dopiero teraz zrozumiałem, jak źle wobec niej postępowałem dotykając jej i jak strasznie wynagrodziłem jej dobroć. Brzydka i napiętnowana, z przestachem patrzyła na mnie i tylko jej oczy były wciąż jasne jak gwiazdy — sądziła, że przerazę się i od niej ucieknę.

Teraz dopiero uświadomiłem sobie, jak strasznie serce ze mnie zdrwiło, bo widać między przyjaciółką a mną stały tajemnicze, zastraszające czary natury — jej ciało nie mogło znieść mego zbliżenia, choć serce zniosło mój dotyk. Tak jak ktoś choruje i dostaje wysypki od truskawek, a ktoś inny nie znosi zapachu siana i dostaje gorączki siennej, tak samo ona zachorowała od mego dotyku i trwało to wiele dni, zanim jej cera nie nabrała znów dawnego wyglądu, a szyja stała się, jak dawniej, mlecznobiała.

Po tym wszystkim zrozumiałem, dlaczego z takim pełnym obawy bólem i namiętnością wzywał dziki kot Gilgamesza, bo teraz i ja sparzyłem swoje usta trucizną życia i wiedziałem, że wskutek złych czynów i nieposkromionego serca straciłem nieśmiertelność. Ale bardziej niż nad utratą nieśmiertelności bolałem nad tym, że najczystsze źródło jest dla mnie na wieki zamknięte, że strzeże go anioł z płonącym mieczem, tak że nigdy już nie wolno mi będzie wstąpić do raju.

Serce, które mnie tak haniebnie nabrało, śmiało się teraz bezczelnie w mej piersi, zachwycone swym żartem, a świat dokoła był zimny, nie kochałem już podłych ulic i umęczonych drzew mego miasta. Ale najdziwniejsze, że mimo wszystko nie byłem zgorzkniały, że moja mądrość pozbawiona była goryczy — przeciwnie, uszczęśliwiała mnie, że dane mi było doświadczyć tego wszystkiego, i jestem pewien, że niewiele ludzi doznało takich wrażeń. Kiedy żal mi było radości, której nigdy już nie miałem zaznać, samolubne serce pocieszało mnie i strasznie się chwaliło, że posiadam tajemną czarodziejską moc, jeśli już sam mój dotyk może w jednej chwili zmienić człowieka w maskarę, w pokryte plamami brzydactwo.

W każdym razie gdy moja przyjaciółka wyjeżdżała do swego miasta, była tak samo jak dawniej piękna i patrzyła na mnie siwymi oczyma, choć nie odważyła się dotknąć nawet mojej ręki, by nie nabawić się znowu plam, które w miejscach publicznych mogły zwrócić uwagę, a w domu spowodować niepotrzebne i przykre pytania. Mnie wystarczyło, gdy na mnie patrzyła, bo wtedy zło ulatniało się ze mnie i czułem się bardzo szczęśliwy. Podobnie jej ładny kapelusik nadal bardzo kochałem, bo była na nim zieleń i kitka jak u małej dziewczynki.

Tak więc rozstaliśmy się i ja odzyskałem swoje serce, choć uciechy z niego było niewiele, wróciłem na wieś do jesiennej głuszy, by kończyć dramat o czarownicach — teraz mogłem go pisać z większą znajomością rzeczy i z większym przekonaniem. Nie chcę przez to powiedzieć, że moja przyjaciółka była czarownicą, przecież od mojego dotyku dostała plam, a jeśli nawet była, to moim zdaniem wróżką dobrą i bliższą niebu niż piekłu. Myślę, że czary były we mnie, tak samo jak było we mnie coś, co upodobało mnie do małża; może te czary tkwiły w moim sercu, niepoprawnym i nadal mętym, choć sam czułem się człowiekiem lepszym niż dawniej i żrąca gorycz nie podchodziła mi już do gardła — chroniło mnie przed nią spojrzenie siwych oczu.

3

Pojechałem więc z powrotem do głuszy, ale podkreślam: człowiek nie powinien nigdy wzywać śmierci, bo śmierć nie dosłyszcy i myśli powoli. Na nieszczęście powiedziałem przyjaciółce, że chciałbym umrzeć właśnie w tamtej chwili, gdy jasno świeciły gwiazdy i byłem blisko raju, ale po tym wszystkim zupełnie się uspokoiłem i wcale już nie miałem ochoty umierać. Jednakże śmierć ustosunkowała się poważnie do mojej prośby, kiedy ją sobie w końcu uprzytomniła, choć znacznie się spóźniła z jej spełnieniem. Kiedy więc wreszcie przybyłem na miejsce i na dziedzińcu stojącym we dworze czekałem na Rylla, który miał mnie zawieźć z rzeczami do mojego domku, zza węgła wyskoczył oswobodzony z więzi olbrzymi byk dworski, stanął, rył ziemię, sapał i parskał jak lokomotywa,

wyrzucając z potężnych nozdrzy kłęby dymu — było to naprawdę potężne byczysko.

Widać rozzłościł się z jakiegoś powodu i wyrwał z nozdrzy kolczyk z żelaznym łańcuchem, choć na pewno było to bardzo bolesne. Wpatrywałem się w jego nabiegłe krwią, pałające ślepia i nie wątpiłem, że był na mnie wściekły za tego byka z Krety i miał zamiar przebić mnie rogami; nigdy przedtem nie zauważyłem, że ma tak ostre i takie długie rogi. Zdennerwowałem się strasznie i wyrzekałem na śmierć, która była tak powolna w spełnianiu ludzkich życzeń, bo kiedy patrzyłem w ślepia potężnego byka, nie miałem już najmniejszej ochoty umierać, tak jak żaden człowiek nie pragnie śmierci, gdy przychodzi ona nagle i niespodziewanie. Pomyślałem też, że ciało miałbym po takim przebicciu rogami ogromnie szpetne. To zadrasnęło moją próżność, żal mi też było mojej porządnej jesionki. Ale jedna rzecz cieszyła mnie ogromnie, gdy patrzyłem w pełne wściekłości ślepia byka; moje serce skuliło się w piersi, nie ważyło się ruszyć ani odezwać słowem, i odtąd, ilekroć pomyślałem o śmierci, nie czułem się nigdy niewolnikiem kapryśnego i złego serca.

Zapadał wieczór, gdy tak stałem samotny na czarnym dziedzińcu stajennym, byk rył przede mną ziemię kopytami, sapał i jak lokomotywa wyrzucał kłęby pary, na niebie nie było ani jednej gwiazdy, nigdzie ani żywej duszy, nie było więc sensu wołać o pomoc czy nawet brać nóg za pas, bo mimo wszystko byk był ode mnie zwinniejszy. I tak staliśmy czas jakiś naprzeciwko siebie, aż widocznie śmierć doszła do wniosku, że dość już mi napędziła strachu za te głupie prośby, albo też zapomniała o całej historii i poleciała zająć się innymi, bo jak wiele przypadków wskazuje, śmierć jest strasznie roztargniona. W każdym razie byk zapomniał o mnie, zaatakował natomiast moją walizkę, nadział ją na rogi i podrzucił w górę, na wysokość dachu stajennego, następnie zmieszał moje rzeczy z błotem i wyprostowawszy ogon pobiegł w stronę obory, gdzie spodziewał się z pewnością ciekawszych przygód na niwie kawalerskiego żywota. Doskonale te uczucia rozumiałem, bo na pewno to nic przyjemnego całymi dniami stać przy drodze na uwięzi i żując trawę gapić się na przechodniów, choć trzeba przyznać, że każdy z nas ma swój łańcuch, który go trzyma, tylko że wielu z nas tego nie dostrzega; sądzimy, że jesteśmy wolni i możemy robić, co nam się żywnie podoba.

Byk natomiast przeoczył jeden szczegół, nie zauważył puszkę melasy, którą wiozłem babce, więc puszka ocalała; byłem z tego bardzo zadowolony, bo gdyby ją ruszył, rozgniewałbym się strasznie i chyba trzasnął byka łagą. Syrop był w tych czasach rarytasem, więc kiedy już byk pobiegił w stronę obory, łatwo sobie wmówiłem, że niewątpliwie oberwałby ode mnie laską, gdyby tknął puszkę.

Mimo wszystko chyba lepiej, że nie podniosłem na niego ręki, bo moim zdaniem bicie stworzenia jest podłością, choćby były ku temu ważne powody. Tak myślałem, gdy Rylle wioził mnie drogą wyboistą i pełną kałuż, a gwiazdy zapalały się na niebie, myślałem też o śmierci, która w postaci byka mnie ominęła, bo nie nadszedł jeszcze mój czas. Kiedy więc gwiazdy się zapalały, a po obydwu stronach drogi wznosił się spokojny las, rozmyślałem o śmierci i znów życie było warto stawki, choć niegdyś w chwilach gorczy sądziłem, że jest nic niewarte. Ale fałszywe, próżne serce zaczęło szybko przechwalać się i pysznić:

„Chyba zauważyłeś, jak zdołałem się pohamować w niebezpiecznej chwili, jak rozważnie stałem w miejscu, jak nieustraszenie cię wspierałem i podnosiłem na duchu w trudnej sytuacji. Gdybym nie było odważne, to na pewno bym ci podeszło do gardła albo runęło na kolana i najadłbyś się wstydu.”

Ale te przechwałki wskazywały na to, że serce raz chociaż czuło się speszzone, a mnie ogarnęła głęboka radość, że nie jestem odtąd jego niewolnikiem.

W taki sposób na wozie ciągnionym przez wzdychającego Rylle przybyłem znów do głuszy. Babka przyjęła mnie serdecznie, pies ucieszył się bardzo, kiedy mnie zobaczył, bo już się ustatkował i zapomniał o zagrzebanych kościach — albo też je pożarł. Dlatego mógł w spokoju ducha wylegiwać się na tapczanie, leżał sobie na plecach z wyciągniętymi prosto łapami, co było oznaką dobrego humoru, i merdał czarnym ogonem. Ale koło oczu pojawiło się wiele srebrnych włosków, był to już stary pies i dyszał gorzej niż ja, gdy wchodził po schodkach. Dlatego też niechętnie wdrapywał się za mną na poddasze, schody były dla jego krótkich nógek za wysokie i strome, a wrażliwy brzusek ocierał się o nie.

Wróciłem więc do swego codziennego życia na pustkowiu, a las wołało wzdychać od trudów jesieni. W słoneczne dni brzozy koło domu były jasnożółte, po nocach czarne ich gałęzie drapały dach nad moją głową, ale już się ich nie bałem, bo czułem się lepszy niż przedtem. Dlatego mogłem z łatwością pisać o czarownicach i napisałem o nich dramat, choć maszyna zaczęła szemrać i złościć się żądając wypoczynku.

Po kilku dniach, podobnych do siebie a niepowtarzalnych, zaczęło mnie coś powoli gnębić, zupełnie tak samo jak maleńki kamyk albo gwóźdź, gdy zaczyna uwierać nogę w bucie. Rzeczywiście, na dnię mojej duszy odkryłem gwóźdź, który gniótł mnie i uwierał, choć, jak mogłem najlepiej, przybijając go i zaklepywałem wmawiając sobie, że nic mi nie dolega. Podejrzewam, że serce, i to nieźle, maczało w tym palce, bo chciało się zemścić za porażkę wobec byka.

Co wieczór, gdy zapalały się światła, przylatywały z ciemniejącego nieba szare ćmy i stęsknione w wiecznej ciemności za światłem i jasnością, przyciskały się do framug okiennych. Były to piękne ćmy, na pierwszy rzut oka skromne i szare, ale kiedy patrzyłem na nie z bliska przez szybę, widziałem na skrzydłach jakby małe oczka, jasne, okrągłe kółeczka, a spojrzenie artysty wyróżniłoby na ślicznym pyłku skrzydełek ze sto jasnych, pięknych pastelowych barw. Dziwiłem się bardzo tym ćmom, co przylatywały z ciemnego lasu, i babka była zdziwiona, bo dawniej ich nie widziała, dopiero kiedy wróciłem tu z miasta. Nagle drgnąłem i zrozumiałem, że były to myśli, które przyszły za mną poprzez noc i ciemną, chłodną jesień. Ktoś o mnie pamiętał i jego myśli przyleciały do mnie w postaci pięknych nocnych szarych motyli, jego oczy spoglądały na mnie z siwych skrzydełek i czytałem z nich smutek i wiedzę: „Szczęście jest jak sen.”

Wówczas znów zaczęło coś we mnie tajać i żarzyć się i wiedziałem, że mąż, który rozwarł się, by zaczerpnąć haust czystej wody, przełknął wraz z nią drobinę piasku, co uwierała i piekła mnie teraz, nim zdążyłem otoczyć ją warstewką delikatnej masy perłowej. I już mnie to nie męczyło ani nie złościło jak przedtem, choć na ogół mój mąż był leniwy i strasznie się denerwował, kiedy w bólu musiał z drobinki piasku wyhodować perłę w skorupie. Ale tym razem mąż wcale się nie lenił ani nie złościł, tylko w słodkiej męce powoli zaczął otaczać ziarenko masą per-

łową. Przedłużał tę czynność, jak umiał, bo ten ból sprawiał mu radość, kochał tę obcą, maleńką drobinę bólu, która swym ostrzem jak igła kłuła ciało w jego najczulszym miejscu.

W związku z powyższym pragnę zwrócić uwagę, że czytelnik się myli, jeśli zalicza mnie do odrębnego gatunku ludzkiego, bo sądząc z opowiadania, posiadam cały ogród zoologiczny w swoim wnętrzu, jak małże i inne stworzenia. Muszę więc przypomnieć z naciskiem, że wcale tak bardzo nie różnię się od innych ludzi, choć porzuciłem, dochodową branżę kupa, w każdym bowiem człowieku drzemie własny małż, a są chyba i takie małże, które nigdy się w człowieku nie otworzą i giną wraz z nim, gdy nadejdzie śmierć. Wiem na przykład doskonale, że moja żona ma w sobie pokaźnego, mocno opancerzonego małża, w córce też zaczyna się rozwijać, a w gronie znajomych mógłbym wyliczać całe grupy ludzi, u których wykryłem małże, ale przez delikatność nie chcę wymieniać nazwisk; zauważyłem, że ludzie wcale nie lubią, jeśli to się im udowodni — najczęściej ostro zaprzeczają, jakoby wiedzieli cokolwiek o małżu w swojej duszy.

W każdym razie babka zauważyła, że znów patrzę w sufit, i niewątpliwie zrozumiała, że ogarnęła mnie melancholia, robiła mi więc coraz lepsze szarlotki, które tylko ona potrafi upiec, i jadłem je z apetytem. Babka jest widać pewna, że na świecie nie ma takiego smutku, chandry, rozczarowania czy bólu, których by jej szarlotka nie była w stanie pokonać. W jej mądrości było coś ze smaku piołunu, ale babka jest starsza, bardziej doświadczona ode mnie i kiedy jadłem upieczoną przez nią szarlotkę, musiałem przyznać, że w tej mądrości było dużo prawdy.

4

Muszę jeszcze opowiedzieć o ostatniej kabale, w jaką wpakowało mnie moje podłe serce, choć uczynię to niechętnie, bo niewątpliwie ukaże to mnie przed czytelnikami w złym świetle. W tym szczerym opowiadaniu usiłowałem jednak przedstawić rzeczywistość, bo moim zdaniem pisanie nie rekompensuje trudów, jeśli nie będzie się człowiek starał powiedzieć

prawdę. Dlatego chcę jeszcze opowiedzieć o ostatnim, przygnębiającym przeżyciu, które groziło zniszczeniem we mnie małża — uratowałem go tylko dzięki wiernemu psu.

Muszę przypomnieć, że w butelce, którą ukryłem we wnęce z ubraniami, za żołnierskim butem, została jeszcze kropelka czarnoksięskiego wywaru. O fakcie tym pamiętałem bardzo dobrze, a przekłete serce przypominało mi o tym bezustannie i zmuszało, bym w chwilach przygnębienia zerkał w stronę wnęki. Nie mogłem zapomnieć, jak dziki kot, ogarnięty szałem rozkoszy i strasznego bólu, ganiał po wierchołkach świerków wzywając Gilgamesza. Chętnie zakosztowałbym tej samej rozkoszy i bólu, ale czarnoksięski wywar z resztką koniaku postanowiłem zachować na wypadek ukąszenia żmii i oczywiście chciałem pozostać wierny danemu słowu.

Lecz im jesień była chłodniejsza, im bardziej kłującą zólcia pokrywały się brzozy, im czarniej-sza stawała się woda w jeziorze i im złośliwiej ciemne gałęzie drapały blaszany dach nad moją głową, tym bardziej niepokojne stawało się moje perwersyjne serce i tym bardziej szyderczo do mnie przemawiało, kpiło z małża, aż wpadłem w czarną rozpacz. Może bym siebie i ocalił przed zakusami serca, gdybym któregoś dnia, na nieszczęście akurat wtedy, kiedy pies pogrążył się na tapczanie w czarującej krainie snów, nie spotkał znów dzikiego kota. Wyszedł mi naprzeciw zza pokoju dziecinnego, hardy, z najeżonymi wąsiskami. Spaśł się na resztkach niezliczonych ubojów, sierść jego lśniła, a kiedy stapał na sztywnych łapach, tak samo jak pies ogromnie chwalił bogactwo jesieni i ludzką hojność.

Miauczał sobie podłą śpiewkę:

Precz smutki, narzekania,
gdy masz coś do gryzienia,
czy nisko, czy wysoko,
czy w górze, czy na dole,
gdy coś obgryzać możesz.
Zryjcie więc mięso,
pijcie więc krew,
najlepsze zaś kęski
dajcie mi zjeść!

— Hi hi hi — zachichotał i jeszcze raz powtórzył swój podły refren:

Żryjcie więc mięso,
pijcie więc krew,
krwawe mięso
smacznym kąskiem jest!

Z przykrością muszę stwierdzić, że od dzikiego kota zajeżdżało leśnym samogonem, wcale się mnie już nie bał, gardził mną, a wszystko to z winy psa. Sądzę, że próbował mi też coś powiedzieć, ale przeszkodziła mu długa czkawka, słowa uwięzły mu w gardle i zadowolił się rzuceniem w moją stronę pogardliwego, palącego spojrzenia, gdy chyłkiem biegł do chlewu, aby zbadać kryjówki szczurów i prawdopodobnie sprawdzić wytrzymałość króliczych klatek.

Na jego widok odżyły we mnie wszystkie wspomnienia o muchomorze i czarnym lulku, ale pamiętałem tylko, jaka błoga pustka mnie ogarnęła, gdy wszystkie kwiaty kłaniały mi się w dziękczynnym hołdzie za moją pracę, pamiętałem też, jak gibkie i jak mamiąco białe były kształty trzcinyowych dziewczyn kołyszących się w wodzie za moimi oknami. Zapomniałem, jednak, jakie koszmarnie było przebudzenie następnego dnia, pamięć mam krótką, choć byłem kupcem, o czym nie wypada zapominać.

Dlatego serce wpadło w entuzjazm, gdy ujrzalo dzikiego kota, i zaczęło mnie przekonywać: „Co za diabelska idea kryje się w ustawicznym ponurym hodowaniu małża? Beztroska filozofia dzikiego kota jest dużo miłsza twemu ciału, a sam pamiętasz, co mówiłeś, że ciało i dusza stanowią jedność i wiążą się ze sobą niezliczonymi nierozłącznymi nićmi. Jasne jest więc, że to, co jest miłe twemu ciału, jest również miłe i duszy, a w taki dżdżysty, chłody dzień, gdy rozpacz cię przygniata, taka kropla czarodziejskiego płynu byłaby jak najbardziej na miejscu. Kto wie, a nuż ta czarodziejska kropla trafi dzisiaj wieczór w samo sedno, nie masz nawet pojęcia, jakie dziwy mogą ci się wydarzyć, choć sądzisz, że wiesz już wszystko o czarach.”

W taki właśnie sposób moje serce skrzeczało, zebrało, rugało i przeklinało, kiedy błąkałem się po jesiennym lesie pod kłującą żółtością brzoź; twarz miałem mokrą od padających kropel, oczy zaczęły mnie piec, skronie pałać, a naprężone stalowe liny moich nerwów z trzaskiem pękały

i znów znalazłem się w niewoli swego chciwego serca. Wtedy to zdecydowanie zawróciłem, wygrzebałem ze schowka, zza żołnierskiego buta, butelkę, potrząsałem zawartością o ściany szklanego więzienia i wypowiedziałem zaklęcie:

— Wszystkie złe duchy, wyzywam was! Raz jeszcze uwolnię was z uwięzi, ale niech to się stanie po raz ostatni, nigdy więcej nie skosztuję już czarnoksięskiego napoju!

Ale łatwo było mi tak mówić, ponieważ byłem niewolnikiem serca, a nigdy nie spotkałem podlejszego łgarza niż moje serce, kłamstwo wypływa z niego łatwiej niż olej z silnika — to samo mówiłem wielokrotnie już dawniej. Szczególnie wtedy, kiedy byłem kupcem, zdarzało mi się często powtarzać te słowa.

W każdym razie opróżniłem ostatnią kroplę czarnoksięskiego napoju ze szlifowanego naczynia, przełknąłem ją jednym haustem. Poczułem znowu w ustach palący smak muchomora i smak padliny z cygańskiego obozowiska, ale to mnie nie obchodziło, ogień przeniknął wszystkie moje człony, myślałem, że znów jestem młody, i czarodziejska ekstaza pulsowała we mnie, aż zacząłem śpiewać, choć z natury jestem niemuzykalny. Dlatego też całowałem ostatnie jesienne fiołki, a one wędły i ginęły od dotknięcia mych warg. Ómy ulatywały, gdy zamierzałem stulić je w rękach i przycisnąć do piersi, a ich siwe skrzydła i jasne na nich plamki migotały mi w oczach. Gdy chciałem — zwyczajem czarownic — wzbić się do lotu, oładnęła mną potworna depresja, czarodziejski napój zatruł wszystkie moje kończyny i sparaliżował język, tak że nie mogłem już się ruszać ani mówić, tylko pogrążyłem się w straszliwym śnie. Sny były tak makabryczne, że nie mogę o nich mówić, nie mam nawet powodu ich powtarzać, bo były to jedynie sny, a złe sny się nie sprawdzają, tylko dobre. Muszę natomiast opowiedzieć, co mi się przydarzyło, gdy się przebudziłem w szary jesienny świt.

Byłem widać nadal pograżony w letargu podobnym do śmierci i leżałem na brzegu jeziora mokry i zablocony, zrzucony na ziemię z czarodziejskiej miotły. Spodnie od pizamy były zakopcone (wyleciałem przez komin), a mały wypadł ze mnie do wody, tak że nie mogłem go złapać, choć był w zasięgu ręki. Ale nie byłem zdolny poruszyć palcem, język miałem

nadal sparaliżowany, leżałem więc na brzegu owładnięty straszną trwogą i wiedziałem, że dostanę zapalenia płuc przez tę przygodę.

Kiedy tak leżałem na brzegu, zobaczyłem kręgi na wodzie i ogromna głowa szczura wodnego wynurzyła się z ciemnej wody. Szczur wodny dawał nura i wracał na brzeg trzymając małże między przednimi łapami a pyskiem. Niemal nad moimi uszami z apetytem je zjadał, długie, żółte siekacze miażdżyły bez trudu twardy pancerz, potem szczur rozrzucał puste skorupy po wybrzeżu i nurkował w poszukiwaniu następnego małża. Nad uszami słyszałem podobny do zgrzytu kamieni młyńskich chrzęst trzaskających skorup, ale wtedy przez swą głupotę nie uświadomiłem sobie jeszcze grożącego mi niebezpieczeństwa, tylko z zaciekawieniem obserwowałem, bo nigdy jeszcze nie widziałem tak blisko szczura wodnego. Jego futerko było gładkie, ciemnobrązowe i piękne, pyszczyk miał ostry i byłoby z niego bardzo ładne stworzonko, gdyby jego ślepia, kiedy tak łapczywie pożerał małże, nie miały głupiego, tępego wyrazu jak oczy ludzi umysłowo chorych.

Ale kiedy znów ślicznie dał nura do wody i powrócił na brzeg z nowym małżem, przejął mnie strach, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem; tym razem wydobył z dna małża, który wypadł ze mnie, gdy we śnie jechałem na czarodziejskiej miotle, i zamierzał zgnieść jego pancerz żółtymi, długimi zębami i połknąć go. Dopiero teraz pojąłem, jakimi strasznym zwierzęciem jest szczur wodny, jak zatrwająające i bezlitosne są jego zęby, i poczułem, że to piękne, o lśniącym futrze ciało straszliwie cuchnie.

Wszystko we mnie prężyło się do krzyku, a dusza uwięziona w ciele chyba całą wieczność walczyła, bym znowu mógł poruszać rękoma, wołać o pomoc i przepędzić szczura wodnego ratując mego małża; wiedziałem, że gdybym go stracił, straciłbym wszystko, co było mi w życiu cenne i drogie po zrezygnowaniu z kupiectwa, utraciłbym na wieki przyjaciółkę, która ubóstwiała we mnie małża. Ale nie mogłem poruszać kończynami, język nie był mi posłuszny, potworny napój czarownic więził mnie nadal w bezruchu.

Na szczęście pies wcześniej niż zwykle wyszedł na poranną przechadzkę, sądzę, że poczuł gazy w brzuchu po zbyt dobrych kościach, bo leniwie dreptał brzegiem jeziora gryząc od czasu do czasu ździebełka trawy

dla sprawienia sobie ulgi. Szedł jak zawsze roztargniony, wahał to szybką, to znów zwalony pień brzozy, ale słuch miał nadal ostry i nos czuły, mimo starości, i dlatego tak się ucieszyłem, kiedy ujrzałem, że nadchodzi. Szczur wodny drgnął, kiedy go zobaczył, bo byli ze sobą na bakier, i pies, często na próżno, czatował na brzegu. Dlatego na moment szczur wodny zapomniał o małżu. To właśnie ocaliło mnie i moją przyszłość, bo w następnej chwili pies, szczekając radośnie, rzucił się do karku wroga, a szczur wodny puścił małża i zwiął dając nura, aż woda bryznęła. Pies był tak zaskoczony i wściekły, że zupełnie zapomniał o swoich drogocennych, wrażliwych uszach, do których łatwo wlewała się woda, i też zgłębił grunt w jeziorze, strasznie przejęty, że raz wreszcie zobaczył z bliska znieprawionego szczura wodnego. Ale nurkowanie oczywiście nic nie dało, szczur wodny nawiał, a pies wyszedł z jeziora z niewyraźną miną, otrzepując nade mną sierść z wody. I nagle te orzeźwiający kropelki, które na mnie spadły, obudziły mnie z letargu i wyzwoliły spod paraliżującego wpływu czarodziejskiego napoju, mogłem znowu poruszać kończynami i od razu wyciągnąłem rękę po swojego małża, który znów znalazł u mnie bezpieczną kryjówkę.

Pies patrzył na mnie ze zdumieniem, zmarszczywszy mordę wyszczerzył zęby i wahał przez chwilę mój oddech. Ponieważ jednak był dobrze wychowany, nie warknął ani słowa, ja także nie drwiłem z jego głupiego nurkowania za szczurem, tylko gładziłem go i poklepywałem, i chwaliłem, że jest śliczny pies, dzielny pies, szlachetny pies i wierny pies, więc był w świetnym humorze, choć wcale nie rozumiał, skąd biorą się te nagłe oznaki czułości. Ale przyzwyczał się już traktować mnie jako człowieka kapryśnego i w pewnym sensie szalonego, więc przestał się dziwić, dalej spacerował, gryzł trawkę, jednym uchem nasłuchując, czy szczur wodny nie wynurzy jeszcze swej mordy z szuwarów. Ale szczur wodny poznał, co to jest strach o własną skórę, moim zdaniem zupełnie zasłużenie, i nie pokazał się już więcej.

Kiedy nadal skostniały po czarodziejskim napoju, z objawami grypy wróciłem do domu, usłyszałem, jak wrony kraczą przy końcu zalewu; krakały tak przeraźliwie, że nie mogło być pomyłki, wiedziałem już, że sowa wróciła wreszcie z letniej rezydencji pod ludzką strzechę i że wkrótce będę mógł ją zobaczyć. Choć znajdowałem się w tragicznym i kiep-

skim położeniu, wiadomość ta szalenie mnie uradowała; miałem nadzieję, że od sowy uzyskam dobre rady na przyszłość, od dawien dawna bowiem uchodzą za ptaka mądrości, chociaż ci, którzy mądrości nie cierpią, używają nazwy sowa jako obelżywego przezwiska. Małż znajdował się u mnie w doskonałej kryjówce i szczelnie zamknął skorupę, a ja miałem pełne prawo do radości, skoro w ostatniej chwili ocaliłem go od strasznych zębów wodnego szczura. W ten sposób obydwaj mieliśmy prawo się cieszyć w ten straszny poranek, ale muszę przyznać, że nie byłem w szampańskim humorze, kiedy mokry i brudny wdrapywałem się na poddasze, aby zmienić ubranie.

5

Pod wieczór, kiedy zapadł zmierzch, sowa wyprowadziła wrony w pole i przyleciała odpocząć i ogrzać się na dachu przy kominie. Babka piekła w ciągu dnia i komin był ciepły, więc miałem nadzieję, że sowa będzie mi przychylna. Zamknąłem psa w domu, nie bacząc na jego ostry sprzeciw, wdrapałem się na drabinę i zwróciłem się do sowy:

— Och, przyjaciółko moja, sowo, najmądrzejsza z wszystkich ptaków. Długo już na ciebie czekam, bo błądziłem po ciemnym lesie i serce mnie zwiódło. Naucz mnie swej mądrości i mądrości puszczy. Naucz mnie, co to życie, a co śmierć, czy człowiek musi być wiecznie niewolnikiem swego serca i ciała i co to jest nieśmiertelność.

Sowa siedziała bez ruchu, przytulona do komina, i nie zamierzała nawet odwrócić głowy, tylko wpatrywała się we mnie żółtym zgryźliwym wzrokiem. Po długiej chwili rzekła do mnie władczo:

— Przynieś mi żywą mysz.

Była to, według mnie, dziwna odpowiedź na wszystkie wielkie problemy życia i śmierci i nie miała nic wspólnego z nieśmiertelnością. Prócz tego nie miałem żywej myszy. Wziąłem jednak kawałek wołowiny i zaniósłem na strzechę. Po długim namyśle sowa rzekła:

— Odsuń się!

Oddaliłem się o parę kroków, a po jakimś czasie sowa poruszyła się, wpakowała do dzioba cały kawał mięsa i usłyszałem, jak je połyka. Następnie przycisnęła się znów bokiem do ciepłego komina, czknęła, znów stała się romantyczna i rzekła:

Krowa snu w społeczności jałowa,
ciasto snu wewnątrz gorzkie i zgniłe,
piwo snu łatwo bije do głowy,
ale sen daje trzeźwość i siłę.

Ta głęboka sentencja sowy wcale mi nie wystarczyła, nie była też, moim zdaniem, odpowiedzią na zadane pytania. Dlatego też zacząłem oblaśkawić ją pięknymi słowami, usiłowałem wydobyć z niej jaśniejsze myśli, by zrozumieć sens jej wypowiedzi. Słońce zachodziło na czerwono, liście brzozy były w tym świetle plamisto-krwawe i jaskrawożółte, a kawałek mięsa wpłynął widać pozytywnie na uczucia sowy, bo w końcu rzuciła mi słowa zachęty:

— Opowiedz mi wszystko, nie tając niczego, i nie przesadzaj zbytnio w swej opowieści, tylko mów prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, i nie waz się mówić nic innego, jak tylko prawdę, choć prawda i fałsz idą wiecznie, ręka w rękę, tą samą szeroką drogą.

Przychylność sowy uradowała mnie. Stojąc na drabinie oparłem łokieć o strzechę, rękoma podparłem podbródek i podczas gdy zachodziło słońce, opowiadałem jej wszystko, co mi się przytrafiło, mówiłem jej całą prawdę i tylko prawdę, i nic innego jak prawdę. Dzień się kończył, zmierzch zapadał, gdy mówiłem, sowa słuchała uważnie i nie poruszając głową rzucała na mnie od czasu do czasu okrągłe, żółte spojrzenia. Opowiadając, zapaliłem się tak, że policzki mi płonęły i w uszach zaczęło dzwonić, a sowa słuchała zimna i obojętna. Gdy skończyłem długą spowiedź, rzekła ze współczuciem:

— Nieszczęśniku. Wyobrażasz więc sobie, że jesteś znów zakochany?

Zaczerwieniłem się nieco, ale pokornie przyznałem, że istotnie tak sądzę. Sowa skarciła mnie lekko i rzekła:

— Sam dobrze wiesz, że nie pierwszy raz to się zdarza, a twoje serce wie chyba najlepiej, że to nie pierwszy i nie ostatni raz; już wielokroć

powtarzała się ta sama historia, serce już nawet zliczyć nie potrafi tych wypadków. I stale odchorowywałeś te rozczarowania i bez sensu przypisywałeś winę sercu. No, czy nie mówię prawdy?

W zapadającym zmroku pochyliłem głowę i potwierdziłem, że sowa ma rację. Ale jednocześnie ogarnął mnie gniew i zuchwale rzekłem:

— Naprawdę myślałem, że doświadczyłem już w życiu niemal wszystkiego, co tylko człowiek doświadczyć może, ale zapewniam cię, że przedtem niczego takiego nie doznałem, ona jest inna od wszystkich kobiet, jakie spotkałem, jej najmniejszy dotyk przyprawia mnie o dreszcz od stóp do głów, ona rozumie każde moje słowo i rozumie mnie też bez słów — nie ma na świecie nikogo, kto by mnie tak rozumiał. Nie uwierzyłbym po prostu, że ktoś taki istnieje, gdybym jej nie spotkał.

Usłyszawszy to sowa przymknęła oczy i sama zadrżała leciutko. Potem znów zaczęła się litować nade mną, a może po części przychylność tę zawdzięczałem dobremu mięsu, znów bowiem rzuciła na mnie okrągłe ciepłe spojrzenie i cicho rzekła:

— Może życie jest podobne do snu i nie ma dużej różnicy między dniem a nocą, wszystkie dni są takie same i wszystko zło kiedyś się kończy, a piasek zapomnienia sypie się na twoją pamięć. Może tylko mysz jest wieczna, mała, słodka, mięciutka myszka, która w brzuchu jest bardziej miękka niż puchowa poduszka.

Te myśli nie były, moim zdaniem, godne sowy. Zdenerwowałem się i rzekłem do niej:

— Wiem dobrze, że nigdy jej nie zapomnę. To prawda, że mieszka w obcym mieście i nie wiem, czy spotkam ją jeszcze w życiu, a gdybym nawet spotkał, nie mógłbym jej dotknąć, bo jak ci już mówiłem, dostaje plam od mego dotyku, mimo to wszystko się we mnie buntuje i krzyczy, że nigdy nie potrafię jej zapomnieć.

— Upojenie, tylko upojenie — zauważyła sowa ze smutkiem. — Powiedziałbyś lepiej, że nie potrafisz jej zapomnieć, bo nie wolno ci jej tknąć. Gdybyś ją tknął i pił do syta z jej źródła, zwietrzałoby twoje upojenie, szybko doznałbyś zdrowego przesytu i od razu byś się wyleczył. Doprawdy, gdybyś z całą serdecznością uczynił z nią to, co dwoje ludzi uczynić z sobą może, na pewno byś się uspokoił i już nie jęczał; nie wiem poza

tym, czy ma sens tak bardzo się przejmować, choćby i dostała uczulenia od twego dotyku, przecież sam twierdziłeś, że jest dorosła i dobrze wie, co robi. Ale widocznie ty sam nigdy nie będziesz dorosły, ciągle gadasz tak głupio i dziecinnie.

Rozzłościłem się na sowę i rzekłem hardo:

— Nigdy nie chcę być dorosłym i nigdy nie zapomnę.

W tej chwili — właśnie zapalały się gwiazdy — z wierzchołka ciemnego świerka doniósł się jeszcze ostatni raz słodki świergot ptaka moich letnich nocy. Przed zapadnięciem nocy, przed nadejściem jesieni, śmierci i zapomnienia maleńki szary ptaszek śpiewał o lecie, które nie powraca; śpiewał srebrnym głosikiem:

Tylko jedno jasne spojrzenie —
drżą w uśmiechu usta
i woń wiosny poczujesz jesienią,
gorycz jak wosk się topi,
brzydota już cię nie szpeci,
świat rozkoszy przyjmujesz na własność.
O przejrzysta źródłana wiecz...

Sowa czknęła: „Hik!” Srebrny głosik urwał się w pół słowa, z wierzchołka świerka doniósł się szum i chrzęst, potem nic już nie było słychać, tylko po chwili sfrunęło z góry na szarą strzechę maleńkie zakrwawione piórko. Wtedy umilkłem, noc wokół mnie czerniała i odróżniałem już tylko ciemniejsze kontury sowy na mrocznym tle komina. Sowa wygłaszała w mroku swą gorzką mądrość, a była ona następująca:

Wszystko jest względne,
i prawda, kłamstwo.
Prawda — może to szczur wodny,
może pragnienie wody czystej i chłodnej,
może to wplata, a także wypłata.

Nie waż się wzywać daremnie
nieśmiertelności,
tylko szaleniec śmie twierdzić:
Ja nie zapomnę...

Te słowa są rybą oślizłą bez ości,
sto nurtów płynęło do źródeł pamięci,
a teraz zostało bajoro cuchnące.
Wiesz o tym dobrze,
masz gorycz w gardzieli,
więc lepiej pogrzeb przysięgę bezmyślną.

Marzenia szynkę wielu mężczyzn wędzi,
swoją miłość jak prosiaka czyszczą,
chcąc ją daremnie przechować w konserwie.
W wagonie czasu chrobocze szczur wodny,
kości inny przyjaciel dostanie.
W futrze pamięci tuczy się pasożyt.

Sny najpiękniejsze wiatr połą rozwieje,
miłości — mięsa ochłapy zostaną.
Słyszę na drodze kroki szlifierza,
twe serce tajemnie za czymś nowym tęskni.
Małż nie wyhoduje nieśmiertelności.
Ona już ciebie nie pragnie —
tak myślę, gdy słyszę na drodze kroki szlifierza.

Sowa nie miała mi już więcej nic do powiedzenia, jej oczy świeciły jak zimna latarnia, głowę wciągnęła w szyję i szczelniej przylgnęła do boku ciepłego komina. Poczułem chłód jesieni i zszedłem z drabiny, w bramie zatrzymałem się, by popatrzeć na szare, zakrwawione piórko w moim ręku, a serce drwiło ze mnie i złośliwie mówiło: „Czy teraz wierzysz, głupcze? Sowa ma rację. Nie ma nic wiecznego. Nie ma dla człowieka nieśmiertelności. Ty zapomnisz o niej i zapomnisz prędzej, niż myślisz, a twój lepszy, przystojniejszy i mądrzejszy przyjaciel wyprze ciebie z jej myśli, aż ona zapomni twój twarz, jeśli jeszcze nie zapomniała, dla innej twarzy.”

Patrzyłem na gwiazdy i na zakrwawione piórko w mej dłoni, sowa raz jeszcze pochyliła się w ciemności w moją stronę, przypomniawszy sobie smaczny kęsek, którym obdarowałem ją za jej mądrość, i krzyknęła cierpkim głosem:

Każde mięso gorzką drogą
wprost do ziemi pędzi.
Chcesz czy nie chcesz,
plus i minus,
zawsze zero będzie!

Wtedy szybko uciekłem do domu i czułem ukłucia lodowatych igiełek po plecach. Ale gdy zapaliłem światło, w oświetlonych oknach pokazały się znów ćmy, a piękna siwizna ich skrzydeł działała na mą duszę jak uzdrawiający lek; wierzyłem, że poznaję w nich dalekie myśli mojej przyjaciółki, i wiedziałem, że ona jeszcze o mnie nie zapomniała, choć zgorzkniała sowa tak twierdziła. Może ona także czuje ukłucia lodowatych igiełek, pomyślałem; ta myśl przepełniła mnie dumą i rzekłem do swego serca:

„Niech będzie więc, że nie ma nic wiecznego, i niech będzie, że nieśmiertelność nie jest dla człowieka. Mimo to zamierzam osiąść nieśmiertelność w tej mierze, w jakiej potrafię, choćby była tylko znikającą myślą, zapomnianym uśmiechem, szarzącym papierem czy gniewnym oporem. Mój mąż zmusza mnie, bym dążył do nieśmiertelności, nawet krótkiej, choćby szcur wodny chrobotał w wagonie czasu, a hodowane ziarenko piasku było tylko nieczystą i tanią perłą. Życie jest jedynie przebłyskiem światła w ciemnym lesie, pamięć — kołyszącą się kotarą, która zasłania i odsłania scenę wyobraźni, wieczność tkwi tylko we mnie samym i dlatego jest tak samo kapryśna i nieobliczalna jak moje serce. Ale niezależnie od wszystkiego zamierzam rzucić wyzwanie memu sercu i ciemności, i dlatego raz jeszcze wydobywam z mroku dzielnych kogucików Adolfa, Piotra i Gustawa, by piał słabym głosem. Z mroku wydobywam małego czarnego pieska i indora Hamleta, by wymyślał swej bojaźliwej żonie Ofelii. Wydobywam z mroku całe bezpowrotne lato, by lśniło pełnym blaskiem raz jeszcze wokół mnie, i dobywam z mroku kochany ładny kapełusik mej przyjaciółki, by uczynić go nieśmiertelnym w tej maleńkiej mierze, w jakiej nieśmiertelność uczynić potrafię. Wszystko to robię w imię miłości, a potem niech będzie tęsknota, smutek, rozczarowanie i śmierć, tak jak to jest przeznaczone. Ale tego nie możesz mi zagrabić, chciwe serce, nie możesz temu przeszkodzić, dlatego mój mąż jest od ciebie silniejszy.”

I serce nie miało na to odpowiedzi, zamilkło tylko rozdrażnione. Kiedy wykonałem to, co postanowiłem, pozostałem w puszczy jeszcze przez czwarty zmierzch, ale potem nie miałem tu już nic do roboty i znowu wróciłem do światła miast, do goryczy i powolnej śmierci, do bolesnych ukłuć maleńkich igiełek.

6

Znowu więc wróciłem do domu, gdzie trójnogi mężczyzna oczekiwał mnie wśród lodowej, kosmicznej samotności. Żona przyjęła mnie miło i z jakiegoś skrytego powodu przygotowała mi wspaniałą pieczeń cielęcą, tak że znowu po wszystkich bezmięsnych latach wojennych jedliśmy po raz pierwszy pieczeń cielęcą, a wraz z nią podano, jak babka uczyła, kiszzone ogórki, jagody, kalafior i fasolę.

Podczas jedzenia żona patrzyła na mnie badawczo swymi pięknymi oczyma i spytała uśmiechając się:

— No i jak teraz wygląda sprawa twego serca, kochany mężu?

Zaskoczony tym pytaniem drgnąłem tak mocno, że pieczeń wpadła do niewłaściwego otworu w gardle a sos wylał mi się na kolana — nie potrafię udawać. Nie mogłem odgadnąć, skąd miała te informacje, ale kiedy spojrzałem jej w oczy, zrozumiałem, że cały czas wiedziała, iż w roztrągnięciu zostawiłem serce w obcym mieście i lekkomyślnie powierzyłem je pieczy obcej kobiecie. Dlatego przestraszyłem się bardzo, ale że kłamstwo nie polepszyłoby sprawy, z pałającymi uszami rzekłem:

— Możliwe, że moje serce znowu się gdzieś błąkało, ale nic na to nie poradzę, jestem roztrągnięty i kocham piękno, jak sama dobrze wiesz. W każdym razie znajduje się z powrotem na właściwym miejscu i bije gorąco, możesz się przekonać, jeśli położysz swą śliczną rękę na mojej piersi.

Pieczень cielęca była naprawdę wspaniała, żona położyła swą piękną dłoń na mej piersi upewniając się, że serce znowu jest w komórce i na właściwym miejscu. Jej dotknięcie nie było palące ani dreszcz nie przeniknął mnie od stóp do głowy, ale jednak sprawiło mi przyjemność —

poza tym, jak już powiedziałem, pieczeń była wyborna, widać cielę karmiono mlekiem.

Żona oparła brodę na rękę i patrzyła na mnie taksującym wzrokiem, chyba byłem w jej oczach starzejącym się, sapiącym, łysiejącym i tęgim człowiekiem, bo rzekła do mnie ze współczuciem:

— Och ty nieszczęśniku, już dość mam twego niepoprawnego serca, które wciąż na nowo stroi sobie żarty, wykorzystując twoją złą pamięć. Wiesz dobrze, że nie po raz pierwszy uciekało, ale zawsze wracało, podrapane i ze szramami, jak stary kot włóczęga, zawsze je odzyskiwałam, tak jak i teraz. — Westchnęła trochę smutnie, spojrzała na mnie krytycznie i dodała: — No dobrze, twoje wygodne łóżko jest na starym miejscu, kupiłam ci nowe, ciekawe książki. Będzie chyba najlepiej, jak po obiedzie położysz się i prześpisz, by zaoszczędzić siły, nie powinienes się przemęczać; najwięcej lubię, gdy leżysz wyciągnięty w wygodnej pościeli, bo wtedy wiem, gdzie jesteś, i mogę się tobą opiekować. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, bym wzięła znów twoje serce na przechowanie i położyła do szuflady w komodzie pod bieliznę, na starym miejscu. Tam je znajdziesz, gdybyś za nim zatęsknił. Musisz jednak pamiętać, że byłeś fabrykantem gwoździ i powinienes dbać o swoją opinię.

Żona mówiła mądrze i miała całkowitą rację. Dlatego westchnąłem cichutko, choć trzeba przyznać, że pieczeń cieleca zmniejszyła bardzo gorycz klęski. Podałem więc żonie z powrotem swoje serce, a ona zamknęła je w szufladzie komody pod bielizną, pogładziwszy pieszczotliwie i obejrzawszy z zaciekawieniem widoczne na nim szramy.

Uczyniwszy to zaprowadziła mnie do mego wygodnego łóżka, owinęła starannie kocem i przykryła nogi, bym się nie przeziębił, kiedy zasnę. Podała mi książkę i nóż do przecinania stron i przesunęła lampkę tak, by światło padało wprost na kartki, gdy zacznę czytać. W ten sposób było mi znów nadzwyczaj dobrze, w ustach miałem wspaniały smak pieczeni, ogórka i jagód, nie byłem już sam w ciemnym lesie, tylko we własnym domu, w oświetlonym pokoju. Również moje serce było znów w dobrej kryjówce w komodzie, pod bielizną, i już mi nie przeszkadzało.

Ale mimo wszystko gdzieś w głębi duszy czułem delikatne igielki, a małż zamknął się szczelniej niż poprzednio. Śnił o świeżej, źródlanej

czystej wodzie i czuł palący, słodki ból między drobinką piasku a skorupą. Nie przeszkadzałem, pozwoliłem mu hodować cieniutką perłową skorupkę nieśmiertelności wokół drobiny mego smutku i w spokoju śnić sny małżowe, sen bowiem jest jedynym — w każdym razie dla małża — szczęściem.

Sam zagłębiłem się w czytaniu dobrej książki, choć możliwe, że trochę płakałem, bo jestem sentymentalny, mimo że byłem fabrykantem gwóźdździ. Na dworze wył mroźny wicher zwiastujący burzę, wielka miotła tańcząc wykonywała swą pracę, strącała z drzew ostatnie jasne liście, wgniatała w ziemię pozostałe z lata, wysuszone twarzyczki fiołków, skrzypiała w ścianach mego pokoju sztywnymi kciukami prętów i zmiatała bez różnicy wszystko, co umierało, a co swego czasu było żywe. Wraz ze śmieciami zmiatała na usypiska strzępy pamięci oraz całą radość lata, jasność i uroczą nicość. Wszystko oczyściła wielka miotła wyjąca nocą, a ja śniłem, że u progu srogiej zimy głucho dudnią w przedpokoju kroki szlifierza noży.

SPIS TREŚCI

PIERWSZY ZMIERZCH.....	2
DRUGI ZMIERZCH.....	24
TRZECI ZMIERZCH.....	46
CZWARTY ZMIERZCH.....	64